Nr. 15. Poznań, dnia 15 Kwietnia 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 15-go.

Wesołego Alleluja!

Wielka Noc — wielka radość dla całego chrześciańskiego świata.

Wszędy, gdziekolwiek dotarła wieść o wielkiej nauce Boga, Jezusa Chrystusa, wszędy tam dążą dziś gromady wiernych do świątyń Pańskich, by z kaplanami, by z braćmi swymi zanucić wielki hymn tryumfu:

Chrystus zmartwychwstan jest!

I gdy ten hymn zabrzmi, gdy jego akord potężny rozleci się po całym świecie, gdy wspomnimy wszyscy na wielkość miłości i poświęcenia — nieludzkiego, lecz Boskiego prawdziwie, — które w tej ofierze Chrystusa dla nas się mieści — zaiste uwielbienie nasze znać nie może granic, a w ton tryumfu wmiesza się hejnał chwały: Alleluja.

Uczucie tryumfu, uwielbienia, pokornej wdzięczności i niewysłowionej radości napełnia serca i dusze nasze; że krzewicielem Wiary naszej św. jest prawdziwy Bóg, że Bóg ten, chcąc odkupić nas z niewoli szatana i grzechu, poniósł dla nas ofiarę krwawej męki i śmierci sromotnej na krzyżu, i że w dowód swej Boskości — na trzeci dzień po swej śmierci zmartwychwstał.

Chwila to dla świata całego uroczysta, świąteczna, a dla nas Polaków tem radośniejsza, że choć na chwilę umilkną wobec objawienia mocy Boga — burmy nienawistnej walki, i że choć chwilę pozostawią nam wytchnienia i spokoju.

Słusznie nam się chwile takie należą. Potrzeba nam bowiem, byśmy rozpamiętywaniem losów świata krzepili zbolałe serca i zwątpiałe dusze, byśmy z nich czerpali moc Wiary w przyszłość naszą.

Wszak od grzechu pierworodnego do wielkiej ofiary Odkupienia tysiące minęły lat. Przez tych lat tysiące błąkała się ludzkość w ciemnościach i niewoli grzechu. Potop ją nawiedził — a nie opamiętała się. I wybrać musiał sobie Bóg naród jeden, który umiał nieść wieść o tem, że Bóg jest jeden na całym świecie, że On jeden jest stwórcą i władcą tego świata, że w jego ręku jest moc odkupienia i uwolnienia ludzkości z ciemności niewiary i niewoli grzechu.

Ale i ten naród — wybrany — błądził, cielce złote sobie czynił i im pokłony bił — i zsyłał mu Bóg proroki swe przepowiadające, że nadejdzie czas Boskiego odkupienia.

A kiedy czas ten nadszedł, nie uwierzono Chrystusowi, że to On jest odkupicielem świata, lecz zamęczono go na śmierć, aby się dopełniała miara nieprawości ludzkich i spełniony został goryczy kielich do dna — spełniony za ludzkość całą, za przeszłe i przyszłe jej grzechy.

Stało się.

Umarł Chrystus Pan — a złożony w grobie kamiennym — na trzeci dzień — zmartwychpowstał.

Boska moc....

W niej Wiara nasza niezłomna — Alleluja.

W niej siła nadziei. Nadziei naszych lepszych dni — Alleluja.

A za to ku niej miłość nasza — nieskończona, bezgraniczna — Alleluja.

I budzi się w sercach naszych otucha, znika słabość niemęska, hart nowy dusze nasze w pancerne ubezpiecza puklerze. Bo wśród nas grzmi wielka pieśń tryumfu — zmartwychwstania Boskiego......!!! Alleluja!

. . . .

Wesołego Alleluja! — tak brzmią dziś wszędzie okrzyki, dłonie oddają sobie wzajemnie uścisk serdeczniejszy, szczerą staje się przyjaźń — gorętszem uczucie wzajemnej miłości.

Oby tak było na prawdę!

Wśród składających swe życzenia Wam szczególnie, „Kochani Czytelnicy", nie zbraknie i pisma naszego, nie zbraknie „Pracy". Święcimy w ten sposób zwyczaj starodawny i wchodzimy w domy Wasze z przypomnieniem sławnej, staropolskiej gościnności i nie wątpimy, że przyjmiecie nas powitaniem: gość w dom — Bóg w dom.

A do zwykłych życzeń dołączamy wiązankę słów zachęty do wytrwania jak w Wierze św. — tak i w polskości. Pierwsza łączy nas z Bogiem na wieki, a druga z narodem, którego Bóg tak dobrze jest twórcą jak i innych naro-

dów. A nie stworzył nas Bóg na to, byśmy ginęli. Stworzył On nas do życia i dał nam posłannictwo niemniejsze od innych narodów. — Spełnić je musimy, a dla spełnienia go musimy żyć, musimy wytrwać — na zawsze. W tej myśli i my, Kochani Czytelnicy, powtarzamy Wam: Wesołego Alleluja!

Redakcya.

O naukę polskiego języka i religii.

Dwie równocześnie nieomal spadły na społeczeństwo nasze złowrogie wieści.

Doniósł pewien ksiądz w „Dzien. Poznańskim", że nauka religii w języku polskim we wszystkich miastach W Ks. Poznańskiego — ma być czy nawet została już zniesioną.

Doniosła niebawem potem „Gazeta Polska" z Kościana, że nauczyciel Jezierski z *Kielczewa* (pod Kościanem) na wniosek o udzielanie lekcyi języka polskiego dzieciom p. Łagodzkiego odpowiedział, że *„nauki polskiego czytania i pisania w kielczewskiej szkole udzielać już więcej nie wolno"*.

Zdajmy sobie po krótce sprawę ze znaczenia obu tych wiadomości.

Otóż nauki religii w języku polskim udzielano w naszych miastach — i to nie we wszystkich — tylko w najniższych oddziałach.

Nauki polskiego czytania i pisania *wolno było* udzielać nauczycielom na podstawie rozporządzenia ministeryalnego z 16 marca 1894 r., — jeżeli rodzice o naukę tę osobny stawiali wniosek. Był to warunek konieczny. Bez wniosku nauczycielowi nauki tej udzielać — nie było wolno.

Biorąc te „ustępstwa" rządu pruskiego na korzyść dzieci ludności polskiej pod uwagę, zaznaczyć przedewszystkiem należy, że tak nauka religii na najniższych oddziałach szkolnych, jak nauka polskiego czytania i pisania, — to przecież ostatnie resztki tego, co nam się po słuszności należy, czego mamy prawo się głośno domagać, o co — choćby nas i tego pozbawiono — nigdy wołać nie przestaniemy mierząc ukróceniem nam tych praw naszych — miarę ucisku, jakiego doznajemy pod „miłościwemi" (?) rządami Hohenzollernów.

Lecz nie dość upominać się o swoje prawa — po czasie. Inaczej znów przypominać będziemy sobie musieli stare ale prawdziwe o charakterze naszym przysłowie: Polak dopiero mądry — po szkodzie.

Snać nie chce na zarzut ten zasłużyć sobie miasto — *Buk*. Jak nam bowiem stamtąd donoszą, odbyło się w niedzielę dnia 8 kwietnia na sali pana Knechtla zebranie ojców — katolicko-polskich, ażeby wnieść *protest przeciwko* zniesieniu nauki języka polskiego — i przeciwko zaprowadzeniu nauki religii w języku niemieckim w trzecim i czwartym oddziale.

Zebrani uchwalili: wnieść do rejencyi prośbę o przywrócenie prawa korzystania z rozporządzenia ministeryalnego z dnia 16 marca 1894, według którego na wniosek rodziców wolno dzieciom brać udział w nauce języka polskiego, i prośbę o przywrócenie wykładu religii w języku polskim w trzecim i czwartym oddziale; powtóre poprosić Koło sejmowe przez posła dr. Dziembowskiego o wstawienie się za skrzywdzonemi dziećmi.

Pierwsze podanie zaopatrzono w podpisy ojców dzieci do trzeciego i czwartego oddziału uczęszczających, drugie zaś podanie podpisali wszyscy obecni.

Korespondent nasz podnosi z uznaniem, że udział w obradach brali zacni księża bukowscy, ks. proboszcz Niziński, ks. wikaryusz Dykier i ks. wik. Orański.

Podobnie jak w Buku radzimy postąpić innym miejscowościom.

Dla czego? Otóż dotąd nie wiado-

Naród Polski pod obcem panowaniem.

3)

Opowiedział
Julian Brzeżyński.

(Ciąg dalszy).

I zapanowały w kraju rozpacz i przygnębienie, bo rozpoczęły się srogie prześladowania, bo najlepsi i najdzielniejsi synowie Polski jęczeli już w więzieniach, lub szli w obcy kraj na beznadziejne tułactwo.

Już w kilka dni po bitwie maciejowickiej (9-go października 1794 r.) na rozkaz carowej Katarzyny II wyruszył pierwszy 2000-czny oddział jeńców, do niedawna wolnych żołnierzy polskich, pędzony w śnieżne stepy Sybiru i do podziemi petropawłowskiej twierdzy. Szły za nim wywożone z Polski całe tabory ciężkich wozów, napełnionych zrabowanemi srebrami i kosztownościami. Minął cały ten konwój, toczący się powolnie drogą ku Włodawie powóz, w którym spoczywał ciężko ranny naczelnik Tadeusz Kościuszko, wieziony do petersburskich więzień [1]), za nim posuwała się jedna telega z Niemcewiczem i Fiszerem, adjutantem Kościuszki, druga zaś z Kniaziewiczem, Sierakowskim, Kamińskim i brygadyerem Józefem Kopciem, owym walecznym żołnierzem, który chwycony przez Moskali pod Maciejowicami uważany za zbiega wojskowego, poddany był strasznym katuszom, a potem wysłany został aż na koniec państwa rosyjskiego, do Kamczatki. Najprzód generał Chruszczew a następnie major Titow prowadził ten smutny orszak według planu drogi, który brzmiał:

— Powiedziemy ich dalekiem kołem przez Kijów, Mohylew, Witebsk, Wielkie Łuki i Psków!

Dążyli więc dawnym Stefana Batorego szlakiem i przybyli do Petersburga dnia 10-go grudnia 1794 r.

Wkrótce potem przywiezieni tam jeszcze zostali: Kapostas, Jan Kiliński, generał Wawrzecki i Ignacy Potocki. Do Berezowa w Tobolskiej gubernii Sybirskiej wywieziony został Ignacy Działyński, syn Augusta z Kórnika. Generała Madalińskiego, który po bitwie pod Maciejowicami cofał się ku Krakowu, wzięli Prusacy do niewoli i osadzili

[1]) Któż odgadnie jego boleść i smutek, gdy w drugim dopiero dniu po bitwie oprzytomniał? Obok fizycznych cierpień malowały się one w zapadłych oczach i w zgnębionem obliczu. Ostatnia z walki przytomna chwila, to ten rów, który w szalonym pędzie przesadzał, aby powstrzymać pierzchającą jazdę, w który wpadł i koniem w bagnie przygnieciony został. Ostatni cios zadał mu Posłuchowski, Polak, co Moskalom służył! I pewnie nie wiedział jeszcze, iż z ostatnich słów jego żalu i rozpaczy, ułożyli sobie już wrogowie słowa strasznej przepowiedni: „Koniec Polski!" (Finis Poloniae), jak gdyby jedna klęska mogła oszstrzygać o upadku całego, tak żywotnego jak polski narodu, jak gdyby wielki bohater zdołał wypowiedzieć takie słowa! Z ogromu żalu i smutku, jakie ściskały mu serce, pierwszą zapewne była gorzka myśl o Ponińskim, który, gdyby rozkazu, jak był powinien, był usłuchał, i wcześniej z wojskiem nadszedł, pewnie inny obrót rzeczy byłyby wzięły. A może dalej gorzkie myśli wiły się po znękanej głowie Naczelnika: o polskim narodzie, o dzielących go stronnictwach, o nieufności w najważniejszych chwilach czynu, o braku wiary w jego serdeczne rady, w jego gorące odezwy. Pewien odblysk radości mignął w spojrzeniu, gdy sobie wspomniał dzielną Wielkopolskę, Litwę, Kurlandyę. I znów zasępiło mu się oblicze na myśl o obojętności Podola, Ukrainy, Galicyi, Białej Rusi, a zwłaszcza Wołynia. —

mo, czy wykład religii w języku polskim został zniesiony za porozumieniem z władzami wyższemi, czy jest to raczej — *samowola* władz niższych, mających w tem osobisty interes na widoku jak n. p. zasłużenie na osławione „ostmarkenzulagi“ i t. p. Skoro to więc jest, a przynajmniej być może samowola władz niższych, to należy podaniami, zebraniami, wiecami zwrócić wyższym władzom uwagę na to, że ludność polska w tej samowoli odczuwa niesłychaną krzywdę i — bodaj prowokacyę, która w następstwie wywołać może zajścia podobne jak we Wrześni, jeżeli władze wyższe szerokich warstw społeczeństwa naszego nie uspokoją — ukróceniem tej samowoli władz niższych.

Podobnie rzecz mieć się może z udzieleniem nauki polskiego czytania i pisania. Dowiadujemy się, że n. p. dotąd reskrypt ministeryalny z r. 1894 *odwołany nie został*. Skąd więc odmowa na wniosek ojca polskiego?

Mówiono nam, że w kołach nauczycielskich odwołania tego *się dopiero spodziewają*. A więc odwołania takiego w chwili, kiedy odmownie odpowiadano ojcom polskim na ich wnioski o udzielanie nauki polskiego czytania i pisania — *jeszcze nie było*. Znajdują się więc tacy nauczyciele — z imienia Polacy, którzy w gorliwości swojej *uprzedzają* rozporządzenia ministeryalne i pozbawiają nas ostatnich resztek praw do polskiego języka w szkole.

Podobne postępowanie, które wyż samowolą nazywamy, jest po prostu oburzające.

I cóż panowie ministrowie *powiedzą*, albo raczej co *uczynią* przeciwko tej samowoli?

Byłoby ich obowiązkiem, samowolę tę — *ukrócić*, nieposłusznych *ostro ukarać*.

Ale to się zapewne nie stanie. W cichości panowie ministrowie zapewne sprzyjają temu pozbawianiu nas praw naszych, a nauczyciele — dufni w pobłażliwość swych przełożonych — robią co chcą.

To jednak nie zwalnia społeczeństwa naszego z obowiązku — *energicznego upomnienia się o swoje prawa*. Gdziekolwiek więc dotrze wieść o postępowaniu nauczycieli tak, jak postąpił sobie p. Jezierski w Kiełczewie, tam niech ojcowie natychmiast udają się z zażaleniem do inspektorów, do regencyi — do ministrów nawet.

Tę drogę wskazuje nam urządzenie państwowe, w którego karby wcieleni jesteśmy od 100 lat.

Ale to tylko jest droga jedna. Pozostaje nam jeszcze inna, droga wieców i zebrań publicznych. Tam należy za przykładem Buku o wzajemnych pouczyć się obowiązkach i upomnieć się o swoje prawa, o te prawa, z których resztek nas odzierają.

I jeżeli w Prusiech istnieje jeszcze choć odrobina poczucia sprawiedliwości, to głosy te ojców polskich znaleźć powinny posłuch i wymierzona powinna im być sprawiedliwość.

Nie należy się tutaj uchylać od starań ani tłomaczyć tem, że głosy te i tak na nic się nie przydadzą, bo w Prusiech sprawiedliwości niema. Niema — o tem wiemy, ale niech władze same się do tego przyznają, te władze, które tak pochopne są do przypominania nam jakichś tam urojonych pruskich dobrodziejstw. Czy odarcie nas z tych resztek praw do nauki religi polskiej i do polskiego czytania i pisania — to także dobrodziejstwo?

Pewnieby tego Bismark nawet nie odważył się twierdzić.

Rozstrój
w monarchii habsburgskiej.

III.

Są sprawy polityczne, nawet bardzo ważne, które zupełnie inaczej się kończą, niż według wszelkiego prawdopodobieństwa i konsekwencyi faktów skończyć by się powinny; są dramaty,

go najprzód w Głogowie a potem w twierdzy w Magdeburgu; tam też uwięzili generała Niemojewskiego. Austryacy ujęli Hugona Kołłątaja w Austryi i więzili go najprzód w Josephstadzie a potem w Ołomuńcu; w tym drugim więziony był też przez Austryaków, pochwycony w Galicyi, generał Zajączek.

Innym zasłużonym ojczyzny obrońcom udało się po przeróżnych, najdziwniejszych przygodach przedostać się szczęśliwie do Paryża i do Wenecyi. Tak Józef Wybicki przebrany za służącego [2]) przebył zręcznie granice austryackie i podążył do Szwajcaryi a potem do Francyi.

Podobnie przebrani Michał Ogiński wraz z brygadyerem Łaźnińskim po różnych przejściach przybyli do Wenecyi. Także wielu innych, próbując różnych dróg i dziwacznych sposobów, przekradali się przez granice, mylili straże i chronili się z mieniem i życiem do Francyi.

Z początkiem roku 1795 pełno już było wychodźców polskich w Wenecyi, gdzie poseł francuski Lallemand, z polecenia swego rządu, troskliwie nimi się zajmował. Byli tam: Piotr Potocki, ostatni ambasador Rzeczypospolitej w Konstantynopolu, Stanisław Sołtyk, dwaj bracia Wyszkowscy, Łazniński, Franciszek Dmochowski, Kołyszko, Tadeusz Wyrgerd, Nagórski, Karol Prozor i Ogiński. Że jednak w Paryżu było główne ognisko ówczesnej polityki i skuteczniej można tam było pracować dla ojczyzny, więc wielu wychodźców polskich z Wenecyi przeniosło się do stolicy Francyi. Grupowali się tam wszyscy wychodźcy około Franciszka Barssa [3]), który był agentem ustanowionym jeszcze przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i przez rząd Rzeczypospolitej polskiej.

W Polsce, w jej szerokich i ludnych ziemiach, cicho było, smutno i posępnie. Nad bezwładnem, rozszarpanem ciałem wielkiego mocarstwa chrześciańskiego stanęli, zatrzymując się, wrogowie i słuchają, ażali nie odezwie się gdzie w Europie głos protestu, oburzenia, współczucia, głos silny i potężny, z którym liczyć by się potrzeba było. Cicho je-

[2]) Wielce zajmujące są przygody Wybickiego przedzierającego się przez granice państw. W Pradze, w bramie miejskiej wstrzymał go oficer austryacki.

— Ktoś waćpan? — zapytał.

— Jam Sokół, kamerdyner księżnej Poniatowskiej, która tu bawi wraz z madame Sali, dawną ukochaną króla Poniatowskiego.

Przepuszczony łatwo, wkrótce wezwany został do ministra policyi Trautmannsdorffa, gdzie ze względu na Poniatowskich minister z kamerdynerem w bardzo dobrej przywitali się i rozeszli komitywie. Gorzej było w Bregenz, w Tyrolu, gdzie ostatnią austryacką straż trzymali Kroaci, „bracia nasi Słowianie“, a pułkownik był pijany, Kroat robił mu trudności i ledwo go przepuścił, krzycząc:

— Skoro ma paszport niechaj idzie do dyabła, ale ja wiem, że to jest szpieg francuski!

— Wsio braty, Polaki i Rusy! — wołali za nim Kroaci, ciesząc się, że i on i oni wzajemnie się rozumieli. I dziwi się Wybicki, jak to „prawdziwie sarmackie pokolenie wielkoludów mogło się połączyć z Niemcami, ludem wcale odmiennym.“ — Pamiętniki Józ. Wybickiego. Poznań, 1840. t. II. od str. 125.

[3]) *Barss Franciszek*, mieszczanin i adwokat warszawski, w roku 1793 prezydent Warszawy, wielkiej dokładał pracy i starań, aby wyjednać prawa należące się stanowi miejskiemu. Podczas powstania Kościuszki działał obok Kilińskiego, potem w Paryżu przy tworzeniu legionów polskich dopomagał Wybickiemu i Dąbrowskiemu. Był to mąż miłujący szczerze ojczyznę i służący jej wiernie przez całe życie. Umarł około r. 1806.

dziejowe, które w pierwszym akcie mają rysy tragedyi, a których akt ostatni zamienia się — na farsę operetkową. Dziś i tę najnowszą walkę Węgrów o szerszą niezawisłość do takich spraw zaliczyć wypada. Zanim dobiegliśmy w artykułach naszych do końca historycznego i politycznego poglądu na tę sprawę, skończyła się ona nagle i to również w sposób, którego przed tygodniem nikt nie przewidywał. Wobec tego możemy dalszy nasz pogląd znacznie streścić i od razu z końcem połączyć.

Po zwycięstwie koalicyi opozycyjnej przy wyborach do sejmu węgierskiego w lutym r. z. i po spowodowanym tem zwycięstwem upadku gabinetu Tiszy, cesarz Franciszek Józef sam rozpoczął rokowania z przywódcami tej koalicyi. Wzywano ich po kolei do Wiednia między innymi także Franciszka Kossutha. Był to moment naprawdę historyczny wykazujący dobitnie zmienność losów dziejowych, gdy przed sędziwym monarchą austryackim stanął jako kandydat na ministra syn owego węgierskiego męża stanu, który przed pięćdziesięciu przeszło laty usiłował tego właśnie cesarza zdetronizować i wypędzić z Węgier! Franciszek Józef przyjął go łaskawie, chociaż jak fama niesie, nieco zimno. Lecz ani z nim, ani z innymi przywódcami koalicyi nie można było dojść do porozumienia. Korona ofiarowała im objęcie rządów, misyę utworzenia nowego gabinetu, lecz pod warunkiem, że co najmniej swoje żądania wojskowe, zwłaszcza zaś postulat komendy węgierskiej wykluczą ze swego rządowego programu. Najwyższe koła wojskowe w Wiedniu były bowiem zdania, że z chwilą zaprowadzenia na Węgrzech odrębnej komendy, w języku, znanym zaledwie pewnej części wyższych oficerów, skończy się jednolitość armii a tem samem i mocarstwowe stanowisko Austro-Węgier. Zachodziła zresztą obawa, że z chwilą przyznania Węgrom tego ustępstwa, także inne większe narodowości austryackie wystąpią z podobnem żądaniem — i armia rozbije się już nie na dwie, lecz na wiele drobnych, odrębnych cząstek. Lecz upojona zwycięstwami koalicya nie chciała przyjąć tego cesarskiego warunku, była nieprzystępną dla wszelkich perswazyi. Wobec tego korona innego chwyciła się sposobu. W poprzednich gabinetach był przez długie lata ministrem honwedów generał baron Geza (Wiktor) *Fejervary*, weteran z kilku wojen, okryty sławą zwłaszcza w wojnie z Włochami, służbista starej daty, uznającej jedną tylko wolę, jedno przykazanie: wolę i rozkaz sędziwego swego monarchy. Gdy tedy żaden z innych mężów stanu z obawy przed koalicyą, nie chciał się podjąć utworzenia gabinetu, cesarz odwołał się do tego swego wiernego sługi, a sługa ten nie odmówił. Utworzenie gabinetu nie było jednak łatwem, wśród wybitniejszych polityków trudno było znaleść kandydatów nawet do poszczególnych tek ministeryalnych. Fejervary sięgnął więc o stopień niżej i utworzył gabinet urzędniczy z ludzi niższej rangi, po części mało znanych w szerszych kołach. Gabinet ten koalicya powitała z oburzeniem i szyderstwem, — na posiedzeniu sejmowem, na którem chciał się on przedstawić wybrańcom narodu, nie dopuszczono do głosu żadnego z ministrów, obrzucano ich obelgami, grożono im czynną zniewagą. Tu nadmienić wypada, że Węgry posiadają tak zw. system rządów parlamentarnych, to znaczy, że każdorazowy gabinet powinien być wybrany z większości sejmu i powinien ustąpić w chwili, gdy zaufanie tej większości postradał. Już więc nominacyę gabinetu Fejervarego, od którego odsunęło się nawet dotychczasowe liberalne stronnictwo rządowe, uważano za naruszenie owej zasady, za czyn niekonstytucyjny. A tego rodzaju stanowisko wobec gabinetu zajęła nietylko Izba poselska sejmu, lecz także wierna dotychczas koronie Izba panów czyli magnatów. Ogólnie też spodziewano się, że Fejervary natychmiast po takiem przyjęciu przez

---

dnak, jak daleko i szeroko, Europa milczy, bo nie przeczuwa, czy nie zabraknie jej kiedyś narodu, co przez dziesięć wieków samoistnego bytu, był jej ozdobą, podporą i przedmurzem, co ocalił cywilizacyę i chrześciaństwo od Tatarów pod Lignicą (1241), od Osmanów pod Chocimem (1621 i 1673) i Wiedniem, co tyle lat piersiami swemi odpierał grożącą Zachodowi dziką nawalę moskiewską.

Cicho i smutno. Tylko z ponad Wawelu, ponad groby wielkich królów, z szumem drzew nadwiślańskich płynie daleko ponad Polskę, szeroko ponad świat cały i wysoko leci pod niebiosa, szept tajemniczy, niemilknący, zmieniający się w pełen siły głos potępienia i wróżby.

— Spełniony został czyn niesłychanej przemocy, jakiego nie znają dzieje świata, czyn, który kiedyś Bóg Sprawiedliwy osądzi...

Wśród ciszy i milczenia nie słyszą głosu tego wrogowie, nie potrzebują się rumienić, dokonali arcydzieła, które trudno nazwać właściwem mianem, w niecnym tym czynie, w tem bezprawiu, prawem bogaty łup wzajemnie sobie zabezpieczyli.

Na tym starym naszym zamku na Wawelu niepokój i zdziwienie i daremne rozlegają się pytania bez odpowiedzi:

— Gdzie bogaty skarbiec koronny, gdzie sześć wspaniałych królewskich koron?...

— Gdzie korona Bolesława Chrobrego, zdobna setkami rubinów, szmaragdów, szafirów, pereł?...

— Gdzie korona królowej Jadwigi, korona szwedzka Zygmunta III., korona moskiewska Władysława IV?...

— Gdzie korony: pogrzebowa i homagialna, którą to drugą wdziewali królowie nasi w czasie odbierania hołdu od lenników?...

— Niema ich!... Cicho!... Nie wolno mówić!... Zabrali ci, co tu byli!...

— Kto śmiał? Kto miał prawo?

— Prusacy tu byli...

— Oni zabrali i wywieźli, nie mogąc zabrać całego Krakowa, którego tak pragnęli i uparcie żądali! I słusznie!... Cóż Polakom po koronach?... Wszak Polska rozebrana, ostatni jej król wywieziony do Petersburga [4]) i Polski już niema, a tylko trzy działy ziem polskich i dział rosyjski, pruski i austryacki!..

Takie było zadanie troskliwych Polski opiekunów... Odtąd na takie trzy działy: rosyjski, pruski i austryacki, rozpada się historya polska [5]).

[4]) Dnia 2 grudnia 1794 r. rozkazała carowa Katarzyna II, aby król Stanisław August Poniatowski opuścił Warszawę i przybywał do Grodna. Podążył więc król dnia 5 stycznia 1795 r. i w Grodnie spotkał się ze swym starym znajomym, księciem Repninem, który teraz miał dokonać 30-letniego dzieła i miał skłonić króla do podpisania aktu abdykacyi. Nastąpiło to dnia 25 listopada 1795 r. w Grodnie, w samą rocznicę koronacyi króla, w dzień imienin carowej Katarzyny II. Król zemdlał. porwały go wymioty, rzewne, już nie udane łzy ronił, ale akt abdykacyi podpisał. W rok później dowiedział się zgnębiony naród polski, że po śmierci Katarzyny wstąpił na tron car Paweł, że obchodził w Petersburgu świetną koronacyę i że dla uświetnienia tej uroczystości prowadzony był publicznie król więzień, na którego głowie błyszczała niedawno przesławna korona Piastów i Jagiełłów!

[5]) A. Lewicki, Zarys hist. pols., Kraków, 1897. — A. Sokołowski, Dzieje Pols., Wiedeń, 1899. t. IV. — T. Morawski, Dzieje nar. pols. Poznań, 1872, t. IV. — Encykl. Orgelbr. Warsz. 1884. — Enc. Macierzy pols. Lwów, 1905.

(Ciąg dalszy nastąpi).

sejm ustąpi. Tymczasem odważny ten żołnierz nie zląkł się gróźb i obelg, pozostał na stanowisku — i, jak się dziś okazało, stał się do pewnego stopnia *mężem opatrznościowym korony Habsburgów na Węgrzech.*

Przygotowany z góry na wszelkie ewentualności, Fejervary otwierając sejm, miał już przy sobie orędzie królewskie odraczające sesyę — i z orędzia tego skorzystał. Fakt ten wywołał nową falę oburzenia wśród opozycyi — była chwila, w której zanosiło się na to, że sejm nie uwzględni woli królewskiej, lecz samowolnie dalej obradować będzie. Przeciwko temu jednakże wystąpili rozważniejsi politycy, wskazując na to, że król ma *konstytucyjne prawo* odraczania, a nawet rozwiązania sejmu.

Po odroczeniu sesyi rozpoczęła się teraz innego rodzaju walka. Koalicya zaczęła organizować tak zwaną „bierną rezystencyę.“ Ogłosiła ona, że obecnemu rządowi nie należy płacić podatków, ani dawać rekruta, dalej wezwała urzędników, ażeby w imię patryotyzmu odmawiali posłuszeństwa rządowi. Nie płacić podatków — to rzecz miła bardzo, nie dziw więc, że to hasło szeroki znalazło posłuch. Lecz i odezwa do urzędników nie pozostała bez skutku. Rząd nietylko nie mógł ściągać rekruta, lecz nawet powoływanie pod broń rezerwistów napotykało na trudności, ponieważ municypia nie wykonywały rozkazów rządowych. Gdy zaś rząd opornych składał z urzędów i na ich miejsce mianował innych, siłą broni trzeba było bronić tych nowych przed gniewem podburzonych przez koalicyę tłumów. Jednego z nowych „żupanów“ (tyle co prezes rejencyi), Kowacza w Debreczynie, tłum niemal na śmierć zamęczył. Lecz Fejervary nie zraził się i temi przeciwnościami.

Wśród członków jego gabinetu był niejaki *Kristoffy,* powołany na ten urząd, ze stanowiska „żupana,“ syn krawca z małego miasteczka, w gruncie serca wielki demokrata. Ten wpadł na nowy pomysł złamania koalicyi. Węgrzy posiadają do tej chwili bardzo ciasny system wyborczy, przyznający prawo głosowania tylko zaledwie trzeciej części pełnoletnich obywateli. Ponieważ zaś idea zupełnej niezawisłości Węgier przyjęła się głównie tylko w tych ciaśniejszych kołach inteligentniejszych i majętniejszych wyborców, szerokie zaś masy albo należały do niedbającego o to stronnictwa socyalistycznego, albo też wogóle zdradzały na tym punkcie zupełny indyferentyzm, Kristoffy zaproponował, ażeby zaprowadzić w kraju *powszechne równe prawo głosowania,* w nadziei, że gdy te szerokie masy staną do urny wyborczej, skład sejmu zmieni się zupełnie, a postulaty narodowe zepchnięte zostaną na drugi plan przez sprawy socyalne i ekonomiczne. Fejervary myśl tę akceptował i pozyskał dla niej cesarza.

Gdy wieść o tem rozeszła się po kraju, koalicya zadrżała. I ona nie łudziła się co do skutków powszechnego prawa głosowania; uważała za więcej niż prawdopodobne, że wprowadzi ono do sejmu znaczne zastępy innych narodowości: Rumunów, Słowaków, Serbów i że przez to zachwieje ideę *narodowego*. państwa madziarskiego. Lecz wkrótce ochłonęła z przerażenia. Nie przypuszczała jeszcze, iżby korona odważyła się nowe prawo wyborcze oktrojować (narzucić) państwu — w sejmie zaś koalicya, jako większość mogła projekt rządowy odrzucić. To też, gdy rząd, sądząc, że teraz znajdzie po stronie koalicyi większą gotowość do ustępstw, rozpoczął nowe rokowania, nową tylko otrzymał rekuzę.

Cały rok 1905 minął na takiej walce. Żadna ze stron przeciwnych ani na krok nie ustępowała. Cesarz powołał wprawdzie raz jeszcze do siebie wszystkich przywódców koalicyi: Kossutha, Andrassego, Apponyego, Banffyego i Zichego, lecz na to tylko, aby im w szorstki sposób oznajmić, że swych praw monarszych nie wyrzeknie się nigdy.

W kraju tymczasem wzmagała się anarchia, w kasach państwowych zaczynało brakować pieniędzy. Dość powiedzieć, że w ciągu dwuletniej tej walki *państwo straciło na niewpłaconych podatkach 150 milionów koron!* Armia w braku rekrutów stała się niekompletną. Koalicya liczyła jeszcze na następujące kłopoty rządu: na termin wykupienia kuponów renty pożyczki państwowej, na termin ostatecznego podpisania traktatów handlowych z zagranicą, zwłaszcza z Niemcami, wreszcie na to, że rząd nie będzie mógł płacić kwoty węgierskiej na wspólne potrzeby monarchii. Przywódcom koalicyi ani na myśl nie przyszło, że rząd Fejervarego mógłby sprawy te załatwić na *własną odpowiedzialność,* bez uchwał sejmu. To przecież pachniało zdradą stanu, zdradą konstytucyi! Tymczasem grubo się przeliczono.

Fejervary nie cofnął się przed niczem. Gdy jeszcze dwukrotnie próby obrad sejmowych rozbiły się o opór koalicyi, zdobył się on na krok stanowczy. Zwołał on sejm w lutym r. b. raz jeszcze, lecz tylko na to, aby go z polecenia króla *rozwiązać.* Gdy zaś posłowie usiłowali stawiać opór, *rozpędził ich wojskiem.* Krok za krokiem teraz następowały zarządzenia, mające charakter wręcz absolustyczny. Gabinet na własną rękę zaciągnął u bankierów pożyczkę 80 milionów koron, na własną odpowiedzialność wypłacał kwoty na wspólne potrzeby, na własną odpowiedzialność ratyfikował traktaty. Opór w kraju tłumiono siłą broni, zabraniano zgromadzeń politycznych, *a wreszcie rozwiązano nawet komitet wykonawczy koalicyi.*

Ogólnie niemal spodziewano się wówczas, że ta samowola rządu wywoła zbrojną rewolucyę, że naród węgierski, obrażony w swoich uczuciach i prawach, *siłą odeprze te ataki.* Lecz stało się inaczej. Dramat zamienił się na operetkę.

Energia Fejervarego zaimponowała Węgrom. Ojciec obecnego ministra hr. Juliusza Andrassego, były wspólny znany minister spraw zagranicznych i przyjaciel Bismarcka, powiedział razu pewnego o *Polakach,* że można nimi rządzić *„jedynie z batem w jednej, z owsem w drugiej ręce“.* Tymczasem dziś w całej pełni słowa te zastósować można do jego własnego narodu.

Bat w ręku Fejervarego zrobił swoje. Naród węgierski nie tylko pozostał spokojny, lecz co więcej, do prezesa gabinetu zaczęły zewsząd przybywać deputacye, z prośbą, aby w jaki bądź sposób przywrócił porządek w kraju. Tu zaznaczyć wypada, że ta walka kilkoletnia rzeczywiście zaciążyła ciężko na handlu i przemyśle węgierskim. Lecz koalicya na razie jeszcze się nie poddała, przeciwnie w pełnych patosu odezwach proklamowała dalej „bierną rezystencyę“. Jedna bowiem jeszcze przyświecała jej nadzieja. Według konstytucyi węgierskiej po rozwiązaniu sejmu muszą w ciągu 50 dni *nastąpić nowe wybory.* Król, któryby przepisu tego nie uwzględnił, złamał by swoją przysięgę na konstytucyę. Liczono więc jeszcze na to, że w tym czasie nastąpią nowe wybory i że kraj raz jeszcze w duchu koalicyi zamanifestuje swoją wolę.

Lecz i ta nadzieja zawiodła. Nie pomogła proklamowana przez koalicyę prawdziwie operetkowa żałoba narodowa, polegająca na noszeniu tulipanów przy gorsecie, dzień z dniem mijał, a rząd głosił stale, że nie zarządzi nowych wyborów, dopóki kraj nie uspoki się zupełnie. Teraz dopiero sytuacya stała się i dla koalicyi krytyczną. Powiedziano sobie, że król, naruszywszy raz konstytucyę, nie poprzestanie na tem, lecz narzuci Węgrom powszechne prawo głosowania, powoła przeciwko nim gnębione dotychczas

inne narodowości, zniszczy wogóle całą powagę konstytucyi węgierskiej, którą dotychczas za świętość uważano, i całą węgierską narodową ideę państwową.

I oto stało się, czego się jeszcze przed dwoma tygodniami nikt nie spodziewał. Tydzień przed upływem ostatecznego terminu rozpisania nowych wyborów *z łona koalicyi poruszono myśl nowych układów.* Układy te trwały tylko dni kilka. Rezultatem ich było, *że koalicya przyjęła wszystkie warunki korony, swoje narodowe a zwłaszcza wojskowe postulaty zupełnie wykluczyła z programu* i na tej podstawie powołaną została do rządów. Dnia 8-go b. m. powstał nowy gabinet, do którego weszli *Andrassy, Apponyi, Kossuth, Zichy, Polonyi* — a na którego czele stanął dr. Weckerle, który raz już był prezydentem gabinetu, lecz do opozycyi nie należał. Ten nowy gabinet koalicyjny ma przeprowadzić w nowym sejmie budżet, kontyngent rekrutów, uchwalenie traktatów i inne „konieczności“ państwowe — nadto zaś powszechne prawo wyborcze, — lecz *sprawy komendy węgierskiej — tknąć mu nie wolno.*

Tak oto skończyła się walka, która groziła rozbiciem monarchii habsburgskiej. Nie ulega wątpliwości, że postulaty koalicyi odżyją jeszcze kiedyś, może zaraz po śmierci Franciszka Józefa. Na razie atoli monarchii austro-węgierskiej z tej strony nic nie grozi.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Sami walcząc o święte nasze prawa narodowe, życzymy z całego serca i Węgrom *zupełnej niezawisłości.* Lecz nie możemy zgodzić się na to, aby ofiarą tej niezawisłości padło 7 milionów innych narodowości, w tem *4 miliony Słowian.* Nie może nam też być obojętnem, że Madziarzy, dążąc do zupełnej niezawisłości — czułem okiem spoglądają *ku Berlinowi.* Fakt, że podczas opisanej powyżej walki krążyły po Węgrzech fotografie księcia pruskiego Eitel Fritza z podpisem: „przyszły *cesarz* (sic) Węgier“ — nie może być dla nas rzeczą obojętną. Galicya zresztą liczne otrzymywała dowody — że dawna piosnka: „Polak Węgier — dwaj bratanki“ do dzisiejszych stosunków zastósować się już nie da!...

I. K. M.

Korespondencya z Galicyi

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 9-go kwietnia 1906.

(Dr. Głąbiński o sytuacyi).

Ruchliwe bardzo stronnictwo *narodowo-demokratyczne* w Galicyi ma główne centrum swej organizacyi we *Lwowie.* Kraków do niedawna nie posiadał żadnej organizacyi narodowo-demokratycznej. Utworzono ją dopiero w ostatnim czasie, przed tygodniem zaś odbyło się w ratuszu krakowskim zgromadzenie, na którem „leader“ stronnictwa tego w Galicyi prof. i poseł *Głąbiński* przed licznem zaproszonem audytoryum określał bliżej *stanowisko narodowych demokratów wobec najważniejszych* obecnie dla Galicyi kwestyi: reformy wyborczej, stosunku do Rusinów i wyodrębnienia kraju, względnie znaczniejszego jeszcze rozszerzenia jego autonomii.

Wytrawny ten mówca zaznaczył zaraz na wstępie co do reformy wyborczej, że nie zejdzie już ona z porządku dziennego, bo wyniosły ją tam nietylko stosunki na Węgrzech i zapatrywania dynastyi, ale i ewolucya wewnętrzna. Dziś nie ma już miejsca dla reprezentacyi kuryalnej i reforma wyborcza *musi być przeprowadzoną.* Projekt br. Gautsch'a — wywodził poseł Głąbiński dalej — stawia rzecz na motywach słusznych i demokratycznych, bo na powszechności, bezpośredniości i tajności. Czy ofiarowane prawo będzie także równem, tego mówca przesądzać nie chce, zaznacza atoli, że to, co rząd proponuje, nie jest równem i równem być nie może, bo nie miałoby szans przejścia. Równem byłoby to prawo, gdyby uwzględniało na równi wszystkie narodowości, wszystkie kraje. Tak atoli nie jest. Ono uwzględnia dotychczasowy stan posiadania, ponieważ więc niektóre narody były dotąd uprzywilejowane, pozostaną takiemi i nadal. Niektóre, w pierwszym rzędzie *polski,* zostały w bolesny sposób pokrzywdzone. Pominąwszy zresztą małą liczbę mandatów, skrzywdzono nas także przez to, że w Galicyi urządzono większe okręgi wyborcze, niż w krajach innych. Projekt nie daje więc równości prawa głosowania, ale to — zdaniem mówcy — korzystne jest dla sprawy polskiej, bo przy równem prawie wyborczem Polacy byliby reprezentowali w *bardzo małej liczbie,* zaledwie w *jednej trzeciej posłów z Galicyi.* Zgodzić się więc można na twierdzenie, że projektowane prawo jest *lokalnie równem.*

Mówca rozstrząsał następnie kwestyę, jakie wobec tej reformy stanowisko zająć powinni polscy posłowie demokratyczni. Powinni zasadniczo oświadczyć się *za projektem,* bo z sympatyą należy odnosić się do każdej reformy, która porusza i uświadamia *masy ludowe.* Argumentów, że reforma jest za wczesna, że trafia na grunt nieprzygotowany, że lud nasz jest niedojrzały, mówca nie podziela. To stanowisko jest sprzeczne z naszą ideą narodową. Dziś jedna warstwa nie ma prawa decydowania o tem, czy warstwa druga jest dojrzałą, lub nie, bo byłby to sąd podmiotowy; kiedyż zresztą warstwy niedojrzałe dojrzeją, jeżeli się im nie pozwoli rozwinąć samodzielności? Słuszniejszym może jest argument inny, mianowicie, że rząd uczynił krok zbyt nagły i może należało na razie usunąć tylko kuryę wielkiej własności, a potem dopiero stopniowo dalej przekształcać istniejący stan rzeczy.

Poważny zarzut należy uczynić rządowi, że przedkładając projekt reformy parlamentarnej, nie zainicyował równocześnie rozszerzenia *kompetencyi galicyjskiego sejmu krajowego.* Należało to uczynić, ponieważ dzisiejszy parlament wznosi się ponad prawa sejmu, a nowy będzie pod tym względem jeszcze bardziej chciwym i będzie dążył do dalszego uszczuplania praw sejmu, jeżeli nie będzie stosowaną państwowa gwarancya praw sejmu przez odpowiedzialność namiestnika i rządu przed sejmem. — Mimo to wszystko jednak mówca oświadcza się przeciw „junctim“ parlamentarnej reformy ze sprawą rozszerzenia autonomii i zaznacza, że *projekt rządowy należy przyjąć i dążyć, aby reforma ta została przeprowadzoną;* z drugiej jednak strony na podstawie różnych motywów jak np. ludność kraju, kultura narodu polskiego, udział mieszkańców Galicyi w służbie wojskowej obstawać trzeba przy warunku powiększenia liczby mandatów.

Co do kwestyi ruskiej — mówił poseł Głąbiński — to obecnie jej załatwić nie zdołamy z powodu agresywnej polityki Rusinów, z powodu obudzonych nadziei, że Galicya wschodnia będzie do nich należała. My z naszych praw na wschodzie zrezygnować nie możemy, aczkolwiek z drugiej strony nikt z nas nawet nie marzy o tem, aby Rusinów spolszczyć. Sprawa ruska będzie załatwioną dopiero wtedy, gdy będziemy sami u siebie, gdy nie będzie nikogo trzeciego z hasłem „divide et impera“, a Rusini w parlamencie nie będą się łączyli z naszymi wrogami.

Dr. Głąbiński omawiał następnie sprawę *rozszerzenia autonomii Galicyi* i wypowiedział zapatrywanie, że o rozszerzenie autonomii starać się należy, bez względu na to, czy rozszerzoną będzie równocześnie sejmowa ordynacya wyborcza na najszerszych zasadach, lub też nie. Dr. Głąbiński zaznacza przy tej sposobności, że bar. Gautsch oświadczył mu przy obradach w komisyi dla reformy wyborczej, że żądania

Polaków o rozszerzenie autonomii uważa za skromne. Kuryę V do sejmu Galicya otrzyma, a następnie i szerszą reformę, albowiem „pod wpływem nowoczesnego wychowania młodsza generacya konserwatystów jest zdemokratyzowana". Wpływ konserwatystów osłabł, ich silne podstawy ekonomiczne upadły, proces demokratyzacyi konserwatystów postępuje, więc należy ratować to, co w nich jest zdrowem. Ta warstwa, aczkolwiek w sejmie ma większość, godzi się już na reformę. Także w Kole polskiem konserwatyści liczą się z opinią publiczną i ze zdaniem posłów demokratycznych i będą zmuszeni głosować za reformą wyborczą, z którą się pogodzą. Wobec tego nie potrzeba wcale odpowiadać na kwestyę, czy demokraci rozbić mają solidarność Koła polskiego? Kto uznaje solidarność Koła polskiego, ten tej solidarności nie złamie. Solidarność ta jednak powinna być także moralna, aby wiedziano, że wszystkich 60 posłów idzie razem. W ostatnich czasach mówiono w sferach parlamentarnych z przekąsem, że Koło polskie rozporządza tylko 37 głosami, które... są przeciwne reformie wyborczej.

W związku z tem zaznaczył mówca, że głosował *za nagłością wniosków Wolfa i Schoenerera* dla tego, bo po pierwsze sądził, że nad poruszoną przez te wnioski sprawą wyodrębnienia Galicyi komisya dla reformy wyborczej zastanowić się powinna, a po drugie dla tego, że chciał dać przykład karności obywatelskiej... konserwatystom, którzy w przyszłem Kole polskiem znajdą się w znacznej mniejszości i powinni wtedy iść solidarnie z demokratyczną większością. — Członkowie „centrum" i demokratyczni posłowie powinni byli uczynić tak samo, a nie wychodzić z sali podczas głosowania. Mówca kończy uwagą, że demokraci powinni rozciągać swój wpływ i na szlachtę. (Huczne, długotrwałe oklaski).

Nad wywodami posła Głąbińskiego wywiązała się dłuższa dyskusya, w której poseł krakowski *dr. Rotter*, polski postępowy demokrata z obozu tak zw. krakowskiej demokracyi, bronił stanowiska mniejszości w Kole.

Galicyanin.

Z zaboru rosyjskiego i z Rosyi.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Dwa lata temu. Polacy a postępowi Rosyanie. Autonomja i widoki jej uzyskania w Izbie. Rada państwa i jej organizacya. Wybory i zwycięstwo K. D. Polacy w kraju zabranym. Polskie szkolnictwo ludowe. Ze spraw kościelnych. Święto Zmartwychwstania.

Jest piękny zwyczaj w ludzie rosyjskim, by słowy: „Chrystus zmartwychwstał" witać się wzajem w wielkie Święto Zmartwychwstania.

Tym słowom towarzyszy pocałunek miłości, pokoju i zgody braterskiej, przebaczenie uraz, oddanie w niepamięć waśni wzajemnych. „Zaiste zmartwychwstał" — brzmi odpowiedź na to hasło chrześcijańskie. „Chrystus zmartwychwstał, bracia Polacy" — ze słowy temi zwróciła się do nas „Ruś" petersburska, w szeregu listów i artykułów rozpoczynając pracę nad wywalczeniem nam praw do rozwoju i narodowego życia koniecznych. Lecz naród polski milczał — z ust jego nie wyszła i wyjść nie mogła zwykła w takich wypadkach odpowiedź. Milczał w poczuciu krzywd strasznych, srogiej a twardej rzeczywistości, która kłam zadać musi hasłom miłości braterskiej, przez „Ruś" głoszonym.

Milczał, bo wreszcie nie wierzył, by polski program „Rusi" i bojowników rosyjskich „za waszą i naszą wolność" był blizkim urzeczywistnienia.

Miał też najzupełniejsze prawo w szczerość i trwałość z rosyjskiej strony hasła tego nie ufać, a czas politycznego sentymentalizmu się pozbyć.

To było przed dwoma laty. Z łamów „Rusi," „Syna Otieczestwa" i całego szeregu pism wolnościowych rosyjskich od tego czasu rozbrzmiewać zaczęły słowa sympatyi, współczucia, uznania dla Polaków, zaczęto mówić o konieczności nadania nam praw narodowych, całkowitej autonomji Królestwa. Jeden i drugi zjazd ziemców w kierunku tym powziął znane a daleko idące uchwały. Szereg wieców rosyjskich w Moskwie i Petersburgu, zwołanych w sprawie polskiej, stwierdził, że kwiat i chluba narodu rosyjskiego zajmuje względem Polaków to samo, co ziemcy, stanowisko. Fakt zaś najważniejszy i najbardziej znamienny, że nie tylko względy sympatyi i sprawiedliwości, podyktowały liberalnym Rosyanom gruntowną zmianę w postępowaniu z nami, nietylko nienawiść ich do dzisiejszego rządu zmusiła do stanowczego potępienia srogiego systemu! Te względy w polityce są najmniej ważne! Rosyanie stwierdzili, że przedewszystkiem dobrze zrozumiany *interes* ich własny wymaga nadania Królestwu autonomiji, Polakom na Litwie i Rusi równouprawnienia.

To głosić zaczęto w imię realnego interesu Rosyi, „której wolność pogodzić sie nie da z niewolą Polski." Uderzono też w nutę wspólnego a groźnego niebezpieczeństwa z Zachodu...

Na gruncie więc realnym okazało się możliwem porozumienie z Rosyanami. W wiecach moskiewskich i petersburskich przyjmować zaczęli udział wybitni przedstawiciele naszego społeczeństwa; omówiono i zakreślono ostateczne granice autonomiji Królestwa z Sejmem w Warszawie i to żądanie nasze weszło jako jeden z podstawowych punktów do programu najwpływowszej i najsilniejszej partyi rosyjskiej — demokracyi konstytucyjnej. Uznały je prócz tego wszystkie inne partye rosyjskiej lewicy.

Dziś, gdy wybory do pierwszej Izby państwowej w Rosyi przynoszą świetne, stanowcze zwycięstwo demokratom konstytucyjnym, czyli stronnictwu „Wolności narodowej," łatwo zrozumieć naszą radość i nasze nadzieje.

Te jednak nie powinny być wygórowane. Do państwa, które dopiero pierwsze kroki stawiać zaczyna na polu parlamentaryzmu, nie można stosować przykładów Europy Zachodniej. Nawet zupełne, ostateczne zwycięstwo wyborcze przyjaznych Polakom stronnictw nie decyduje wcale odrazu kwestyi autonomiji. Przedewszystkiem wysoce niepewne są same losy Dumy.

Zwołaną została na 10-go maja, stanowczo i nieodwołalnie, a więc za miesiąc ma Rosya powiększyć szeregi państw nowożytnych. Tymczasem rząd dzisiejszy ani myśli ustępować, ani zmienić swej polityki. Nad całą Rosyą szaleje okropna represya i niesłychana samowola administracyi.

Wszystkie zasady manifestu konstytucyjnego są najbezczelniej zdeptane. Wybory się odbywają w warunkach niezwykłych, przy teroryzmie władz niebywałym. Pisma rosyjskie to istna kronika gwałtów i nadużyć. Najusilniej ściganą jest wyborcza działalność KD. Fakt, że stronnictwo to jednak przeprowadziło tak znaczną ilość swych kandydatów na wyborców (którzy dopiero będą wybierać posłów) świadczy o wysokim stopniu uświadomienia i opozycyjnego nastroju społeczeństwa.

A więc niepewnym jest los pierwszej Dumy, zwłaszcza, gdy przewagę otrzyma w niej skrajna opozycya.

A to jest pewnem. Mówią i o tem, że Duma w takim razie zostanie rozpędzoną siłą bagnetów.

Dalej, pamiętać należy o stosunkowo szczupłym zakresie praw Dumy. Władzę swą dzielić będzie musiała z Radą Państwa, której skład będzie reakcyjnym. Połowa jej członków jest mianowaną z pośród wyższych dygni-

tarzy państwowych, druga połowa obieralną przez szlachtę i koła przemysłowo-handlowe. Obowiązuje bardzo wysoki cenzus wyborczy, utrudniający wstęp do Rady żywiołom demokratycznym.

Wybory do Rady państwa odbywają się równolegle z wyborami do Izby (Dumy) i też są pośrednie. Królestwo wybrało już 6-ciu wyborców z Warszawy i z Łodzi. Polscy kandydaci też przeszli z Witebska, z kuryi ziemiańskiej. Jest to pocieszającem ze względu na okoliczność, że żywioł polski w kuryi obywateli ziemskich w gubernii witebskiej stanowi zaledwie dwadzieścia kilka procent. Posiadając jednak w przeciwieństwie do Rosyan tradycye parlamentarne i wyrobienie obywatelskie, Polacy na Litwie i Rusi odgrywają w wyborach dzisiejszych do Izby rolę najpoważniejszą.

Ostatnio przeprowadzili swych kandydatów w ogromnej większości okręgów wiejskich, własności drobnej, w gub. mińskiej, co ważnem jest ze względu na wielką przewagę w tej kuryi żywiołu białoruskiego.

Natomiast w kuryi miejskiej w kraju zabranym stanowczą przewagę dzierżą żydzi. W Grodnie, Brześciu itd. przeprowadzili wyłącznie swoich wyborców.

Fakt ten wydać się musi dla nas mniej przykrym, gdy zważymy, że większość żydów należy do zwolenników „kadetów" (konst. dem.), a w każdym razie wszyscy żydzi stanowić będą najbardziej opozycyjny żywioł w Izbie. Przewaga zaś Polaków na Litwie i Rusi jest tak wielką, że polakożerczy „Kijewlanin" przepowiada objęcie przez nich 72 mandatów na ogólną liczbę 80, a doliczywszy do tego 36 Polaków z Królestwa, oblicza ilość posłów polskich w Dumie na 108, czyli prawie ¼ część Izby. Jest to oczywiście gruba przesada i bałamuctwo.

Przedostatni tydzień postu przynosi Królestwu spolszczenie ludowych szkół miejskich i wiejskich. Inspektor warszawskich szkół ogłosił wyjaśnienie ministeryalne, dozwalające na polski wykład wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem języka rosyjskiego. Z punktu widzenia prawa „reforma" ta jest jedynie wprowadzeniem w wykonanie zeszłorocznych uchwał komitetu ministrów. Dziwić się tylko należy, że przypomniano sobie o niej dopiero dzisiaj, by wyjść „honorowo" z fatalnego położenia, w jakie władze rosyjskie wtrącił bojkot szkół ludowych w Królestwie. Z praktycznego zaś punktu widzenia „reforma" ta jest tylko uprawnieniem stanu rzeczy, jaki się wytworzył skutkiem samorzutnego spolszczenia znacznej części szkół przez ludność i nauczycieli. Część szkół więc była zamknięta, część miała wykład polski, pomimo bardzo surowych represyi rządowych, a tylko nieznaczna ilość trzymała się dawnego systemu.

Oświadczenie ministeryum kładzie kres temu nienormalnemu stanowi rzeczy, odbijającemu się w nader przykry sposób i na losie nauczycieli ludowych, gnębionych okólnikami, wtrącanych do więzień, a pozbawionych środków do życia przez bojkot szkolny. Los tych ludzi, pozostających pomiędzy młotem a kowadłem, istotnie był godnym pożałowania. Rozwiązanie tej ważnej sprawy raz jeszcze pozwala stwierdzić, co znaczy zorganizowana siła społeczeństwa i co są warte wszystkie głosy przeciwbojkotowe.

Ze spraw kościelnych zanotuję wydanie przez biskupów polskich zbiorowego listu do Narodu w sprawie maryawickiej i dzisiejszego położenia Kościoła. Co do maryawitów, to, jak się zdaje, w ruchu odstępczym nastała reakcya — wypadki powrotu na łono katalickiego Kościoła obałamuconych są coraz częstsze. Otwarte zaznaczenie wiernopoddańczych uczuć i życzliwości względem rządu zaszkodzić musi ostatecznie sprawie sekciarzy.

W chwili tego smutnego a potępienia godnego rozłamu w Kościele naszym, organizowanie polskiej pielgrzymki do Rzymu uznać należy za pomysł bardzo udatny. Pielgrzymka polska wyruszy z Warszawy wkrótce po Wielkiejnocy, a udział w niej przyjmą zarówno mieszkańcy Królestwa, jak i Litwy wraz z Rusią.

W Warszawie bawiło grono OO. Redemptorystów, którzy wygłaszali kazania misyjne. Cieszyły się one wielkiem powodzeniem. Ojcowie opuścili Warszawę obecnie, udając się do miejscowości, zamieszkałych lub zagrożonych przez maryawitów.

W małej liczbie ocalałych dotychczas klasztorów na Litwie i Rusi zniesiono zakaz przyjmowania nowych zakonników. W Królestwie nastąpiło zniesienie tego zakazu w lipcu roku zeszłego.

Z otuchą w sercu i nadzieją na bliską już lepszą przyszłość społeczeństwo polskie rosyjskiego zaboru wita wielkie święto Zmartwychwstania Pańskiego. Nieszczęśliwym braciom z pruskiego zaboru, nadziei tej nie posiadającym, śle korespondent „Pracy" wraz ze słowami „Wesołego Alleluja" — gorące życzenia — wytrwać! i ani na chwilę nie zwątpić o niespożytej sile polskiego narodu! *Sarmata.*

Przegląd prasy.

Sprawa nowych ukróceń praw naszych, budzi w szerokich warstwach ludu słuszne obawy. Piszą między innemi z ludu do jednego z poznańskich znanych organów ludowych co następuje:

„Nowy rok szkolny już się rozpoczął. Spodziewaćby się należało, że *nauka religii* w szkołach naszych będzie udzielana w ojczystym języku — nadzieje te byłyby uzasadnione ostatnim okólnikiem Arcybiskupim dotyczącym nauki religii i dołączonym listem cesarskim, w którym wyraźnie cesarz pisze:

„Rząd mój będzie usiłowania Wasze (arcybiskupie) około stawiania zapór rozprzestrzenianiu idei przewrotu przez rozszerzenie i pogłębienie znajomości prawd wiary chrześciańskiej w sercach młodzieży chętnie popierał".

Pogłębienie znajomości prawd wiary chrześciańskiej nastąpić może jedynie przez nauczanie jej w ojczystym języku! Dla tego też pisze z powodu tego ks. Arcypasterz w Okólniku:

„Doświadczenie zaś wykazuje, iż nieodzownym środkiem do skuteczności nauki religii, tej nauki, która ma serca przenikać i serca rozgrzewać, jest mowa, w której matka pierwsze wyrazy i pojęcia religijne w umyśle dziecka utrwala".

Tymczasem jakie nas wieści dochodzą!

Czytamy w gazetach, że *we wszystkich oddziałach* szkół ludowych i w miastach i miasteczkach mają się uczyć religii dzieci po niemiecku. A więc te maleństwa, dzieciaczki nasze sześcioletnie, których serca matki wśród trudu i mozołu, starały się przygotować dla nauczyciela religii, aby ziarno nauki wiary św. przez niego w ojczystej udzielane mowie prędzej się przyjęło i głęboko zapuściło w sercu korzenie, nagle mają by tresowane po prostu w obcym języku, którego i źdźbła jednego nie rozumieją? *Taka tresura* z pewnością w niedalekiej przyszłości będzie pogłębioną. *My wiemy dokąd to prowadzi!"*

Dokąd? — *do wyzbycia się wiary i narodowości!* To rzecz jasna. Wiadomo, że do tego wrogowie nasi dążą.

Co szczególnie jednak tutaj podkreślić należy, to przypomnienie zamachu publikowanego listu cesarskiego. List ten wobec tych nowych wieści — także będzie wkrótce trzeba zaliczyć do liczby tych przyrzeczeń *monarszych,* o których Bismark powiedział swoje słynne, a znane wśród nas słowa: o wartości szeląga.

Niechby jednak teraz Władza Duchowna energicznie upomniała się o te resztki nauki polskiej w szkole — przynajmniej co do religii. Jeżeli

Władza Duchowna tego nie uczyni, w takim razie sama będzie musiała sobie przypisać odpowiedzialność za przykre następstwa i skargi zwrócone w jej stronę. A te niewątpliwie nastąpią.

* * *

Sprawa górnośląska, niedawno jeszcze nieprzewidywany zwrot „Katolika" do obozu polskiego więcej jeszcze jest przedmiotem publicznej dyskusyi. Przytaczamy dziś głos pisma nadreńskiego „Kölnische Volkszeitung", które w kołach liberalnych nosi nazwę „Gazety Bachemskiej," dla tego, że redaktor jej, poseł centrowy Bachem szczerze, najszczerzej ze wszystkich prawie centrowców sprzyja Polakom. „Köln. Volksztg." pisze z powodu przejścia „Katolika" do narodowego obozu między innemi co następuje:

„Na pierwsze miejsce występuje fakt, że ostatnie mosty pomiędzy centrum a umiarkowanem stronnictwem polskiem na Górnym Śląsku zerwanymi zostały. Jest to pożałowania godnym, ale faktem dokonanym. Hakatystyczne koła notują z zadowoleniem wiadomość tę, co zresztą jest zrozumiałem, a równocześnie naigrawają się z centrum, szczególniej z odłamu centrowego na zachodzie, a przedewszystkiem z „Köln. Volksztg." Wskazują z ironią na „wdzięczność Polaków" itp. Nawet i niektóre śląskie pisma centrowe zwracają się przeciwko „Köln. Volksztg." wobec kandydatury Napieralskiego, zarzucając nam zbyt wielki optymizm.

„Na to odpowiadamy. Najlepszym dowodem, że zapatrywana nasze na sprawę polską były słuszne, dowodzi nie tylko uznanie ze strony hakatystów fiaska antypolskiej polityki, ale i ta okoliczność, że cała niemiecka hakatystyczna prasa występuje z największą zaciętością przeciwko nam. Gdyby kiedykolwiekbądź ta tak nieprzyjacielsko dla całej centrowej polityki usposobiona prasa nasze stanowisko była pochwaliła, bylibyśmy byli zmuszeni zastanowić się, czyśmy nie popełnili jakiegokolwiek błędu; dzisiaj zajęte przez nią stanowisko najlepszym dla nas dowodem, że słusznie działaliśmy, starając się wszelkiemi siłami, by przeszkodzić zerwaniu węzłów łączących polskich i niemieckich katolików na Górnym Śląsku. Co zaś dotyczy docinków centrowych gazet górnośląskich, pomijamy je na razie. Zupełnie bowiem zrozumiałem dla nas, że pisma te nie są zadowolnione z przebiegu takiego i zwalają po części na nas winę; wobec tego jednak należy nam postawić pytanie, czy rzeczywiście na Górnym Śląsku można było uniknąć takiej ostrożności.

Śledząc przebieg sprawy tej w ostatnich latach, *przeczaco* na to pytanie odpowiedzieć musimy. — Działał bowiem na Górnym Śląsku czynnik, który wszechwładnie podniecał narodowe przeciwieństwa: *hakatystyczna polityka,* a ta z natury swojej tyle rozgoryczenia wlewała w serca Polaków, żywego, często zbyt żywego usposobienia, że wobec niej wszelkie inne względy ustąpić musiały. Coraz to zaciętsze i gwałtowniejsze projekty ze strony hakatystów musiały do tego stopnia oburzyć Polaków, że głuchymi się stali na wszelkie napomnienia".

Trafnie upatruje „Köln. Volksztg.", że powodem do tego, co obecnie nastąpiło na G. Śląsku — jest hakatyzm, któremu w wielkiej części ulegli także śląscy centrowcy.

* * *

Wiadomo, że ks. Arcybiskup zakazał księżom niemieckim należeć do Towarzystw katolicko-niemieckich. Dotąd brzmienie tego rozporządzenia ukrywało się po za zasłoną urzędowej tajemnicy, wydobył ją obecnie przecież „Lech" i podaje do wiadomości publicznej. Brzmienie to posiada dla nas znaczenie o tyle, że nie jest ono — jak n. p. okólnik w sprawie „Straży" — przypadkowe albo nagłe, lecz raczej jest ono naturalnem ogniwem w rozwoju stosunku naszej władzy duchownej do Związku Tow. niem.-katolickich w W. Ks. Poznańskiem. Wyraźnie bowiem opiewa rozporządzenie tak:

„Jak księdzu zapewne już wiadomo, byłem zmuszony pod datą 23 września 1903 r. prezesowi związku Towarzystw niemieckich katolików z powodu jego mieszania się w sprawy kościelne i przywłaszczenie sobie reprezentacyi kościelnych interesów Moich dyecezyan określić moje stanowisko wobec związku i tenże związek w ustroju swym uznać jako oparty na podstawie niekatolickiej.

„Zarząd Związku dotąd jednak nie mógł się zdecydować na jasne określenie stosunku niemieckich katolików do władzy duchownej, ponieważ zaś przeprowadzanie celów związku w praktyce tak ze strony zarządu związku jak poszczególnych Towarzystw pod względem wysuwania na plan interesów kościelnych znalazło obrażające władzę duchowną względnie Moje duchowieństwo parafialne tłomaczenie, ponieważ dalej tak poszczególne Towarzystwa jak w szczególności organ związku („Katholische Rundschau". Przyp. Red.) poddały kroki i rozporządzenia Moje niepowołanej krytyce, a organ związku pomieszczał wycieczki przeciw części Mojego duchowieństwa wogóle, a pojedyńczym duchownym w szczególności, zniewolony jestem ku smutkowi Mojemu spowodować Wiel. Księdza do wystąpienia z Towarzystwa.

Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański
podp. *ks. Floryan.*"

Zalecamy rozporządzenie to porównać z okólnikiem do księży polskich, a różnicę nie trudno odnaleźć.

Tydzień polityczny.

Pisaliśmy w przeszłym tygodniu o — ukończeniu komedyi *marokańskiej,* nie przewidując, jak wielką wypowiedzieliśmy tam prawdę. Istotnie akt ostatni, akt podpisania konferencyi zakrawa na wesołą prawie — farsę.

Przedewszystkiem ogarnia wszystkich delegatów jakiś febryczny pośpiech. Dzień podpisania umowy konferencyjnej wyznaczony był na wielki wtorek. Tymczasem akt ten przyspieszono o trzy dni i zebrano się do zakończenia konferencyi w sobotę przed Palmową niedzielą.

I cóż się dzieje? Omówione już i ułożone poprzednio brzmienie zostaje odczytane, delegaci w milczeniu chwytają za pióra, podpisują i wzdychają ciężko, dając w ten sposób znak uldze, jaką odczuwają po 10 tygodniowej — bezowocnej pracy.

Szczyt śmieszności osięga komisya marokańska w chwili, gdy zastępca Ameryki oświadcza, że — Stany Zjednoczone nie biorą odpowiedzialności za mogące z powodu konferencyi wyniknąć zawikłania i zatargi polityczne.

Cóż więc za znaczenie ma mieć konferencya, której uczestnicy oświadczają z góry, że nie biorą za ew. jej skutki żadnej odpowiedzialności?

Do oświadczenia Ameryki dołącza się — Szwecya.

Lecz nie tu koniec — marokańskich niespodzianek.

Wiadomo, że uchwalono, ażeby nad policyą francusko- hiszpańską ustanowiony był — generalny inspektor. Zgodzono się, że inspektorem tym ma być zawsze oficer *szwajcarski.* Szwajcarya w Algeciras nie miała swego przedstawiciela. Nikt podczas aktu podpisania konferencyi nie wie, czy Szwajcarya zgodzi się na przyjęcie narzuconego jej — bez jej wiedzy i woli — obowiązku. Proponuje więc przedstawiciel Niemiec Radowitz, ażeby Szwajcaryę o uchwałach konferencyi powiadomić *nieurzędowo,* zanim państwa poszczególne konferencyi urzędowo nie potwierdzą.

Komedya — istna komedya.

Z komedyi tej nie szczególnie wychodzą przedewszystkiem — *Niemcy.* Pozwalali oni rządzić Francyi w Maroku jak jej się tylko podobało przez długie lata. Spokojnie patrzeli na układ jej z Anglią — w sprawie Maroka. A Francya dość miała kłopotów — należały jej się pewne prawa na przyszłość. Te gwarantował jej układ z Anglią. Niemcy — cicho.

Nagle ni stąd ni zowąd zainteresowały się Marokiem. Przypomniano sobie, że układ angielsko-francuski nie został im formalnie doręczony — rozpoczyna się opieka nad niezawisłością sultana — i krzyk — o otwarte drzwi.

Cesarz staje na marokańskiej ziemi i zapewnia sultana, że Niemcy bronić go będą przeciwko zakusom Francyi. Następują układy o konferencyę — upadek Delcassego, a w Niemczech rozbrzmiewa groźna wieść, że tuż stały przed wybuchem wojny, i że groziło im wylądowanie floty angielskiej w Holsztynie.

Całe Niemcy pobrzękują wojowniczo szablą. Odgłos tego animuszu odbija się — w toastach....

I cóż za te wszystkie kłopoty i strachy uzyskali? — To, że Francya jak przedtem tak i dziś w Maroku ma przeważny wpływ, bo z całego świata nikt się nie drze o to, by uspokajać dzikie plemiona arabskie i topić w Maroku swoje miliony.

Ośmieszyły się Niemcy, że z muchy chciały zrobić słonia — i że im się to nijak nie udało.

Rozumie się, że do takiego wielkiego fiasca przyznać się — nikt nie ma ochoty. Nie mają jej tem mniej Niemcy, które głoszą o sobie, że są — niezwyciężone.

To też nie dziw, że kanclerz ks. Bülow tłomaczył wynik konferencyi w Algeciras w ten sposób, że nie było na niej ani zwycięzców, ani zwyciężonych.

Odnośne obrady w parlamencie zakończyły się — omdleniem ks. Bülowa.....

Po dokończeniu drugiego czytania etatu parlament — udał się na świąteczne wakacye, by prace swe na nowo podjąć dopiero dnia 24-go kwietnia, bo pozostało ich dużo jeszcze — reforma podatkowa Rzeszy, wniosek o powiększenie floty. Niemcy dziś już wypowiadają obawę, że parlament nie zdoła w obecnej kadencyi tej pracy podołać.

W Niemczech panuje ogólna febra strajkowa, która szczególnie ogarnęła środkowe Niemcy, mianowicie kopalnie.

W Dreźnie wydalili fabrykanci 13 tysięcy robotników. — Podobne wieści o strajkach nadchodzą z Brunświku, Lipska i Królewca.

Rosya czyni starania o pożyczkę. Jest to dla niej kwestya bytu albo upadku absolutyzmu. WAnglii prasa przestrzega rząd przed popieraniem starań rosyjskich i zaznacza, że należy ściśle odróżnić *naród od rządu rosyjskiego.* Niewątpliwie liberalny gabinet angielski nie zechce przykładać ręki do utrzymania obecnego rozstroju i anarchii w państwie rosyjskiem.

Podobno jednak Niemcy mają podać pomocniczą dłoń Rosyi. Czyżby wydanie książki radzcy Martina, o której wspominaliśmy w przeszłym numerze miało jakiś — ukryty cel?...

Z Węgier nadeszła nareszcie wieść, że opozycya pogodziła się z cesarzem. Koalicya przyjęła na barki swoje rządy i utworzyła następujący gabinet ministeryalny: dr. Weckerle, prezesem gabinetu, Zychy, Andrassy, Apponyi, Polomji, Kossuth i Darąnsi.

„Straż.“

Dowolny wybór notaryusza w sprawach hipotecznych.

Coraz częściej zdarza się, że ajenci banków hipotecznymh zmuszają biorących pożyczki do załatwiania odnośnych czynności notaryalnych u notaryuszów specyalnie przez siebie wskazanych. Zwracamy uwagę na to, że interesent temu warunkowi nie potrzebuje się poddawać i ze swej strony notaryusza wybrać może, do którego sam ma największe zaufanie.

* * *

Dwa wiece „Straży“ na powiat tczewski odbędą się w *drugie święto Wielkanocy w Pelplinie od* godziny 2 4 i od 4 do 6 po południu na sali pana Sikorskiego.

Porządek obrad następujący:

1. Zagajenie i utworzenie biura.
2. Objaśnienie tyczące się założenia towarzystwa „Straży“.
3. Położenie nasze na zachodnich kresach i potrzeba organizacyi sił narodowych, mówcą delegat Główrego Zarządu „Straży“ p. Stanisław Zieliński z Poznania.
4. Wolne wnioski i porozumienia,

Od Sekcyi I organizacyjnej „Straż“ otrzymujemy następujący komunikat.

Organizacya „Straży“ na Sląsku

obejmuje na razie 22 starostów, którzy otrzymawszy wszelkie druki agitacyjne, dobierają sobie obecnie komisarzy i organizują swe powiaty względnie okręgi powiatowe.

Dla przejrzystości podajemy dzisiaj

Wykaz Starostów „Straży“ na Górnym Śląsku.

Powiat	Starosta	Adres
1. Bytomski I	Józef Kalasanty Kopczyński	N. Piekary (Dt. Piekar) b. Scharley.
2. „ II	Klemens Wnukowski	Bytom (Beuthen).
3. „ III	Paweł Dombek	Bytom (Beuthen) Piekarerstr. 29.
4. Bytom miasto	Bronisław Ruczyński	Bytom (Beuthen) Mannheimerstr. 1.
5. W. strzelecki	Ezechiel Krzemyk	Mokrołona (Mokrolohna) p. Gr. Strehlitz.
6. Gliwice	Jakób Jasiczek	Gliwice (Gleiwitz) Tosterstr. 35.
7. Katowicki I miasto	Dr. Adamczewski	Katowice (Kattowitz) Grundmannstr. 16.
8. „ II	Dr. Piotr Hylla	Katowice (Kattowitz) Bank ludowy.
9. „ IV	Wacław Szyperski	Katowice (Kattowitz) Bank ludowy.
10. Król. Huta I	Zygm. Szukalski	Król. Huta (Königshütte) Tempelstr. 5, I.
11. „ „ II	Wojciech Samarzewski	Król. Huta (Königshütte) Wasserstr. 2.
12. Lubliniecki	Maksymilian Rzeźniczek	Lubliniec (Lublinitz).
13. Opolski I	Stanisław Spychalski	Opole (Oppeln) Oderstrasse 25, I.
14. „ II	Jakób Kania	Siałkowice (Schalkowitz).
15. Opole z przedm.	Tadeusz Koraszewski	Opole (Oppeln) Breslauerstr. 10.
16. Pszczyński I	Józef Lazar	Brzesce b. Miserau.
17. II	Prof. Jan Badura	Pszczyna (Pless).
18. Raciborski I	Paweł Gatzka	Racibórz (Ratibor) Jungferstr. 9.
19. „ III	Ludwik Raczek	Racibórz (Ratibor) Ogrodowa 23.
20. Tarnogórski I	Józef Ogiermann	Radzionków (Radzionkau).
21. Torzecko-gliwicki I	Adolf Lampner	Gliwice (Gleiwitz) Gardelerstr 11.
22. Zabrski	K. Piecha	Zaborze Bank ludowy.

Wszystkich gorliwych ziomków, którzy przyjąć chcą urząd „komisarza“ gminy prosimy i wzywamy, aby do powyżej wymienionych starostów zgłaszali się dobrowolnie i to jaknajprędzej, zapisując się jednocześnie na członków „Straży“.

Na powiaty: kozielski, niemodliński, katowicki III, kluczborski, głubczycki, nyski, prudnicki, oleski, rybnicki, tarnogórski II, torzecko-gliwicki, sycowski i miasto Wrocław, potrzeba nam jeszcze dzielnych pracowników.

Wzywamy obywateli, wyżej wymienionych powiatów, aby celem objęcia urzędów zgłaszali się do nas na ochotnika. Czuj duch!

Sekcya I organizacyjna „Straży“
Karol Rzepecki,
Poznań, Rycerska 38.

potem przerwa 20 minut w celu zapisu członków.

5. Zakończenie wiecu przez starostę.

Porządek drugiego wiecu — punkt. 1, 2, 4 i 5 jak wyżej; 3 przemówienie p. Stanisława Zielińskiego na temat: „Walka o byt narodowy.“

O liczny udział rodaków Pelplina i okolicy proszą komisarze i Sekcya organizacyjna „Straży.“

To i owo.

Uniwersytet a Seminaryum duchowne w Poznaniu.

Dwa i pół zaledwie minęło roku od czasu, kiedy otwarto w Poznaniu akademię. Fakt ten wbił się polskiemu społeczeństwu tem szczególnie w pamięć, że dochodziły wówczas z seminaryum pogłoski o groźnym zatargu kleryków z Władzą duchowną, która perswazyą, naciskiem a w końcu wyraźnym nakazem zmuszała alumnów do uczęszczania do tej akademii. Sprawa ta może w tej chwili o tyle jest żywotną, że niedawno temu poskładali egzamina t. zw. rigorosum ci klerycy, którzy wówczas znajdowali się na najniższym kursie.

Przepowiadano wówczas, że akademia niemiecka, czy Władza duchowna zmusi kleryków do uczęszczania na jej wykłady — tak czy owak, prędzej lub później stanie się powodem — do zamknięcia seminaryum w ten sposób, że przy akademii tej otwarty zostanie fakultet teologiczny i filozoficzny.

Głosy domagające się rozstrzygnięcia tej kwestyi w ostatnim czasie stały się głośniejsze. Są to głosy pism niemieckich, domagających się w imię *niemieckiego interesu narodowego* założenia w Poznaniu akademii teologiczno-filozoficznej. Głosy te znajdują poparcie w kołach profesorów niemieckich.

Czy tak się stanie?

Jeżeliby się to stało istotnie, to rzecz jasna stanie się to równocześnie z zamknięciem seminaryum duchownego.

Że stąd dla społeczeństwa naszego niemałe wynikną szkody, łatwo zrozumieć, zwłaszcza gdy uwzględnimy, że seminaryum w przeciągu niespełna dwóch dziesiątek lat swego istnienia wydało znaczny zastęp duchownych, którzy zapełniają wciąż jeszcze szczerby, jakie pozostawił po sobie w szeregach duchowieństwa kulturkampf.

Sprawę tę omówimy jeszcze osobno.....

* * *

Na wcale *dowcipny pomysł* niezawodnego zgermanizowania Polaków wpadł jenerał-oberlejtnant baron *Siebert,* który w dniu 31-go marca wygłosił w *Królewcu* mowę, w której wspomniał nasampierw o *zewnętrznych* wrogach państwa niemieckiego, a przeszedłszy następnie do *wewnętrznych* nie zapomniał o niebezpieczeństwie grożącem Niemcom od Polaków, o socyalistach, o przykrych przeciwieństwach religijnych wśród Niemców, przez co państwo niemieckie traci na sile i znaczeniu.

W sprawie polskiej powiedział ów pan według „Germanii,“ co następuje: „Każde polskie dziecko, które do roku 6 nie nauczyło się po niemiecku, powinno być od szkoły ludowej, każdy 20 letni rekrut, który do tego czasu nie nauczył się po niemiecku, od służby wojskowej wykluczony; przez to stłoczymy Polaków na helotów (niewolników), na to, czem byli dawniej.“

Nie potrzeba chyba dodawać, że Polacy byliby Niemcom szczerze wdzięczni za to, gdyby ich zwolnili z przymusu posyłania dzieci swych do szkoły, która je ogłupia, i od wojska które ich pozbawia trzech lat życia w kwiecie wieku, a w zamian za to karmi ich zohydzaniem ich narodowości na każdym kroku.

Bardzo bylibyśmy wdzięczni Niemcom za takie dobrodziejstwo — ino nie wierzymy, aby ono się kiedykolwiek urzeczywistniło.....

* * *

Głośno rozbrzmiewa u nas od dłuższego czasu nawoływanie do: *wyzwolenia się z pod jarzma alkoholu.* Jest to przyznajemy szczerze — jedno z najpiękniejszych haseł, jakie się pojawiło u nas na tle odrodzenia narodowego. A jakie znaczenie ono może mieć w przyszłości, niech odpowie nam na to następujący fakt.

W ubiegłym roku — wiadomo — w sposób pokojowy odbył się rozdział Szwecyi i Norwegii. Norwegia stała się państwem *samodzielnem* po kilku wiekach złączenia z Szwecyą i różnych kolejach losu. Fakt rozłączenia Norwegii ze Szwecyą zwrócił powszechną uwagę na ten mały, górski na najodleglejszej północy Europy położony kraik. I przekonano się, że ludność norweska stoi na bardzo wysokim stopniu kultury, że nauki norweskie pod każdym względem stoję wysoko, że Norwegia w ostatnim czasie wydała twory literatury, które świat cały w podziw wprowadziły.

I okazuje się wreszcie, że także w Norwegii najbardziej zmniejszyło się użycie trunków, choć przecież z natury swego położenia Norwegia jest krajem zimnym, a alkoholu powszechnie używa się „na rozgrzywkę.“

Faktem n p. jest, że, gdy we Francyi przypada jeszcze na jednego człowieka po 16 kwart rocznie spirytusu, w Norwegii tylko nie całe trzy kwarty. Taki pomyślny stan rzeczy przypisują temu, że w Norwegii wyszynkiem i sprzedażą trunków trudni się *stowarzyszenie,* które stara się o *zmniejszenie* użycia tego napoju. W zachęcaniu do picia nie ma tam nikt interesu, bo czysty zysk ze sprzedaży spirytusu i piwa idzie *na dobroczynność.* Kupcom prywatnym nie wolno tam sprzedawać więcej, niż 250 kwart wódki czy piwa. Coraz więcej miast Norwegii uchwala prawo, że w ich obrębie nikomu nie wolno trudnić się sprzedażą alkoholu. Po wsiach norweskich prawie wcale nie ma wyszynków tak, że można tam parę dni jechać i nie mieć możności wypicia kieliszka wódki. W mieście Hansegarund jest 7000 ludności, a od chwili założenia, to jest od roku 1854, istnieje tam prawny zakaz sprzedaży trunków.

Czyżby „Wyzwolenie“ u nas kiedy dopięło tych samych owoców. Życzymy mu tego z całego serca — w imię dobra i pomyślności sprawy narodowej.....

* * *

Napad na bank w Moskwie. Do bezprzykładnych w swoim rodzaju faktów należy napad rewolucyonistów na bank „Towarzystwa wzajemnego kredytu“ *w Moskwie.*

Ze względu na niezmierną odwagę i zręczność, z jaką dokonano napadu, oraz z uwagi na olbrzymie rozmiary „skonfiskowanych“ funduszów (850 tysięcy rubli czyli milion osiemset tysięcy marek), czyn rewolucyonistów rosyjskich kwalifikuje się do bajek z tysiąca i jednej nocy. Jest jednak rzeczywistością, stwierdzoną przez kilkunastu naocznych świadków. Jeden z nich opisuje przebieg tego niesłychanego zdarzenia w następujący sposób w „Rusi:“

„Napad został spełniony o 6-tej wieczorem, czyli wtedy, gdy prace już ukończono i w banku pozostają się tylko niektórzy urzędnicy i kasyerzy sprawdzający stan funduszów. Podczas tego zajęcia zauważono dwóch młodych ludzi, spacerujących po sali, jak gdyby w poszukiwaniu kogoś. Ponieważ prace biurowe już ukończono, więc zaproponowano młodzieńcom opuścić bank; lecz ku wielkiemu zdziwieniu woźnych i urzędników, nieznajomi odmówili spełnienia tej prośby. Z dołu, od strony przedsionka, dała się słyszeć zarazem jakaś wrzawa, zaczęły dochodzić odgłosy jakiegoś szamo-

tania, walki. Jednocześnie to samo dało się słyszeć ze strony drugiego wejścia. Nie upłynęło parę minut, gdy sala zapełniła się łupieżcami, którzy zaczęli się literalnie sypać ze wszystkich stron. Udało im się schwytać aresztować i rozbroić całą straż, stojącą u wejść.

Położenie bezbronnych wożnych było krytycznem. Myśleć o jakim uporze było wprost śmiesznem. Wszyscy napastnicy byli doskonale uzbrojeni, każdy miał po małej bombie, przymocowanej do pętlicy paltota. Zachowując zupełny spokój, oznajmili służbie, że nie tkną żadnego z nich bylebyby tylko nie próbowali im przeszkadzać.

— Potrzebne nam są pieniądze, a nie wasze życie — oznajmili. — Nie jesteśmy łupieżcami, lecz rewolucyonistami i te pieniądze potrzebne nam są dla sprawy, która przyniesie korzyść naszej ojczyźnie. Z temi słowy wyciągnęli skądsiś ogromnych rozmiarów bombę, którą położyli na stole i obok której postawili człowieka z lontem w ręku i z zapałkami. Urzędnikom zapowiedziano, że w razie najmniejszego oporu lont zostanie zapalonym; następnie zażądano od nich, by podnieśli ręce do góry i pozostawali nieruchomo w tej pozycyi.

Urzędnikom pozostawało jedynie usłuchać. Napastnicy natychmiast zabrali się do roboty. Ze zdumiewającą zręcznością otworzono wszystkie kasy, skrzynki żelazne z pieniędzmi. Pieniądze i papiery pakowano do paczek po uprzedniem przeliczeniu, jak gdyby miano na widoku konieczność zdania rachunku. Paczki przewiązywano starannie sznurkami, przy czem pracujący zachowywali zdumiewający spokój. Operacya ta ciągnęła się 20 minut. W miarę upakowania mniej lub więcej znacznych sum napastnicy pojedyńczo opuszczali bank, zabierając te paczki. Ubezwładnieni urzędnicy byli zaledwie pokornymi świadkami całej tej sceny. Gdy liczba rewolucyonistów już się zmniejszyła znacznie, pozostali, pragnąc zapewnić sobie wolne wyjście zażądali od służby, by ta natychmiast się oddaliła do bocznego pokoiku, gdzie ma pozostać bez ruchu przez 15-cie minut. Urzędnikom zapowiedziano, że jeżeli którykolwiek z nich pozwoli sobie chociaż nos wysunąć z pokoiku, to natychmiast zostanie rzuconą tam bomba, od której zginą wszyscy.

Pozostawało więc im poddać się temu rozporządzeniu i długi ich szereg kornie się udał do pokoiku, gdzie pozostawali bez ruchu do chwili póki się nie oddalił ostatni z napadających rewolucyonistów.

Ogółem zrabowano 856 tysięcy rubli 69 kop. w papierach, złocie i srebrze.

I fakt ten miał miejsce w samym środku Moskwy, bardzo ruchliwym jej punkcie, pełnym o tej porze publiczności; pomimo stojącej u drzwi straży udało się rewolucyonistom wynieść worki z pieniędzmi, wsiąść na przygotowanych zawczasu „ryzaków“ i zniknąć bez śladu!

Znaczna ilość gotówki przygotowanej tłomaczy się tem, że następnego dnia bank miał wypłacać dywidendę

Ruch w Towarzstwach.

* **Walne zebranie Związku Kół śpiewackich** odbyło się w niedzielę w salce Domu Przemysłowego. Reprezentowanych było według „Postępu“ 25 kół śpiewackich, a delegatów zebrało się około 50. Zagaił i przewodniczył walnemu zebraniu prezes zarządu Związku Kół śpiewackich p. mecenas Drwęski, który też dał pogląd na organizacye Kół śpiewackich należących do Związku. Sprawozdanie kasowe zdał skarbnik Związku p. Ganke. W kasie znajduje się 618 marek, rozchodu było 485 marek. Sekretarz Związku p. Posieczek odczytał sprawozdanie za czas od sierpnia roku zeszłego do kwietnia r. b. W tym czasie zarząd Związku odbył 3 posiedzenia; przeprowadzono 164 korespondencyi, 49 Kół należy do Związku; organizacya Kół śpiewackich dokonuje się powoli. Od wydawania gazety śpiewackiej odstąpiono z powodu kosztów. Na wniosek komisyi rewizyjnej udzielono pokwitowania skarbnikowi. Nad sprawozdaniami wywiązała się szeroka dyskusya, w czasie której delegaci żądali różnych wyjaśnień i informacyi. Poczem zmieniono ustawy związkowe o tyle, że koszta wynikające ze zjazdu zarządu okręgowego nie ponosi zarząd Związku, tylko poszczególne okręgi. — Postanowiono, aby w tym roku odbył się zjazd dyrygentów Kół śpiewackich w Poznaniu. Poruszono jeszcze kilka innych spraw mających na celu podniesienie Kół śpiewackich. Zebranie trwało przeszło trzy godziny.

Wiadomości.

* **Z teatru.** *„Uczta Herodyady,“ poemat dramatyczny w 3-ch aktach Jana Kasprowicza.*

W ubiegłą sobotę wystawiono na scenie naszej z niezwykłem powodzeniem „Ucztę Herodyady,“ najnowszy i najdoskonalszy bez zaprzeczenia ze wszystkich dotychczasowych utworów scenicznych Jana Kasprowicza.

Rzecz dzieje się w czasach poprzedzających śmierć Chrystusa na dworze króla Heroda, a tłem przepięknego i wspaniałego dramatu jest św. Jan Chrzciciel, którego Herod wtrącił do więzienia, a następnie kazał mu ściąć głowę.

Nasz znakomity wielkopolski pieśniarz przedstawił w swym utworze potężny obraz wyuzdanego szału miłości Salomy, córki Herodyady (panna Podgórska) do rabi Johanana — Jana Chrzciciela — (p. J. Ryger) męża świątobliwego i wielkiego proroka, przepowiadającego przyjście Mesyasza.

Postacie odtworzone są znakomicie, z należytym temperamentem, a **wszystko w dramacie zaklęte jest w nader piękną i przecudną wielką pieśń legendową.** ,

Z wielkiem uznaniem wyrazić się [illegible] o grze artystów. Bohaterką wieczoru była heroina naszej sceny, panna Podgórska (Salome); gra jej mianowicie w scenie ostatniej — w tańcu z głową św. Jana Chrzciciela — zrobiła na widzach potężne wrażenie; wogóle gra jej zasługuje na zupełną pochwałę. Salome to bez zaprzeczenia jedna z najlepszych kreacyi panny Podgórskiej. Pan dyrektor Ryger grał króla Heroda po mistrzowsku — nawet w najdrobniejszych szczegółach. Rolę rabi Johanana — Jana Chrzciciela — potrafił p. Ryger jun. wyzyskać nader umiejętnie; charakterystyka jego była świetna. Panie: Michałowicz (Herodyada), Tworkowska (Aholiba), Wojciechowska (Jachobod), Barwińska (Ahola) grały starannie. Dobrymi arcykapłanami byli pp. Czerniak i Barwiński. Sceny zbiorowe wypadły także dobrze. Wystawa była wspaniała, dekoracya świetna. nowe

kostyumy piękne — wszystko to przyniosło zaszczyt naszej scenie.

Niechże publiczność tak z miasta jak też z prowincyi nie zaniecha sposobności przy najbliższych wystawieniach „Uczty Herodyady“ zapoznania się z arcydziełem naszego wielkiego poety, a tem samem niech poprze materyalnie jak najlepsze chęci dyrekcyi, która nie szczędziła wielkich kosztów, by wystawić należycie i z wielkim pietyzmem ten wspaniały dramat.

—ski.

Z kancelaryi teatralnej piszą nam:

W niedzielę wielkanocną dnia 15-go kwietnia r. b. i to po południu odegrana będzie zawsze mile widziana sztuka Piotra Decourcelle: *„Dwaj malcy“* (w rolach tytułowych wystąpią pp. *Czerniakowa i Wojciechowska*).

Tego dnia wieczorem wraca na afisz przepiękna, poetycka sztuka, w kwietniu sama tylko jedna zdolna zainteresować publiczność do tego stopnia, aby widownia teatru naszego nie wykazywała broń Boże! jakich miejsc niesprzedanych. Sztuką tą jest bezwątpienia *„Uczta Herodyady“ Jana Kasprowicza.*

W drugie święto po południu wesoło będzie w teatrze, bo artyści odegrają zawsze milutką, zawsze wesołą i dowcipną: *„Podróż po Warszawie,“* operetkę w 6-ciu obrazach, z muzyką Sonnenfelda.

Tego dnia wieczorem: *„Popychadło,“* sztuka w 4-ch aktach (5 odsłonach), napisana na stosunkach warszawskich przez *Jana Szutkiewicza.* O utwór ten czasu swego namiętną walkę stoczyły pisma warszawskie, rezultatem czego było, że sztuka zyskała sobie uznanie wszystkich — w końcu nawet jej przeciwników, bo „Popychadło“ jest w rzeczy samej utworem silnie skreślonym, o jasnej tendencyi, a przepysznej konstrukcyi i wogóle technicznej stronie znakomicie wykonanej.

We wtorek: *„Uczta Herodyady“ Jana Kasprowicza.*

W środę: *„Popychadło“ Jana Szutkiewicza.*

W czwartek 11-go kwietnia *benefis Juliana Dobrzańskiego,* artysty sceny naszej, czyli naszego „urzędowego komika.“ Sztuka przez benefisanta szczęśliwie wybrana nosi tytuł: *„Wieczór trzech Króli,“* W. Szekspira.

Pragniemy tutaj chociaż mimochodem potrącić, że *benefis jubileuszowy Stefana Czternastego* odbędzie się w czwartek dnia 26-go b. m., a odegraną zostanie tragedya w 5-ciu aktach Franciszka Wężyka: *„Wanda, córka Krakusa.“*

* **„Gniazdo“ — a Sokoli:** W czwartek dnia 5-go kwietnia odbyło się walne zebranie „Gniazda“ sp. zap. z ogr. odpowiedzialnością. Wiadomo, że „Gniazdo“ nabyło przy Garbarach dom, że uzyskało od policyi konsens na pobudowanie — szopy gimnastycznej. Tymczasem spółce wytoczono proces, zarzucając jej, że popiera polskie cele polityczne, budując szopę dla Towarzystwa „Sokół“, zamiast popierać jedynie interesa członków. Celem procesu ma być rozwiązanie Spółki. Termin odbędzie się 24-go kwietnia, obrońcą będzie p. mecenas Trąpczyński. Władza chce udowodnić, że „Gniazdo“ jest jedno i to samo, ze „Sokołem“. Zażądano spisu członków „Sokoła“ i „Gniazda“, aby porównać, ilu członków „Gniazda“ należy do „Sokoła“. Spisy nie potwierdzają przypuszczenia władzy, ponieważ do „Sokoła“ należy ledwie trzecia część członków „Gniazda“. Sąd nie potwierdził także ks. patrona Wawrzyniaka jako rewizora Spółki, lecz wyznaczył na ten urząd p. Elkelesa.

Pytanie: jak wypadnie wyrok w tej sprawie? — wzbudza zainteresowanie w swoich kołach naszego społeczeństwa.

* **Sokoli a wybory.** Kościańska „Gazeta Polska“ donosi, że na zebraniu obywateli miasta Kościana z pośród trzech postawionych kandydatów — palmę pierwszeństwa osięgnął kandydat przedstawiony przez tamtejsze tow. gimnastyczne „Sokół“ i to p. Wł. Ciastowski. Chodziło tu o wybory uzupełniające do rady miejskiej po śmierci ś. p. Wł. Wdowickiego. O ile pamiętamy, to jest to pierwszy raz, że Sokoli wstępują w szranki wyborcze z własną kandydaturą.

* **Wspaniałomyślny dar.** Patronat *Kółek rólniczych* ogłasza: 5000 marek złożył dla Kółek rólniczych-wiościańskich w darze X. J. U. z W., wyrażając życzenie, aby odsetki od funduszu tego służyły corocznie na cele wystaw po Kółkach i na premiowania.

* **Dwukrotnie uwolnieni.** W piątek dnia 6-go kwietnia stawali przed sądem okręgowym w Kościanie pp. Switała, redaktor z Poznania, Ścieśnicki, Stein, Soborski, Augustyniak, Skoracki, Tadeusz Antoni oskarżeni o urządzenie — publicznego zebrania pod gołem niebem bez policyjnego pozwolenia.

Rzecz miała się tak. W Kościanie odbyła się dnia 16-go lipca ub. roku zabawa prywatna (zamknięta) w ogrodzie Strzeleckim. Ogród ten wraz z całą strzelnicą wynajął p. Switała dla siebie, a na zabawę zapraszał osobny komitet. Do komitetu tego nie należeli z pozwanych pp. Ścieśnicki i Stein, jako członkowie wydziału „Sokoła“ w Kościanie. Zaproszenia zostały rozesłane, *spis* zaproszonych był osobno wygotowany. Wstęp do ogrodu ściśle był kontrolowany. Nie wpuszczano do ogrodu nikogo, kto nie miał zaproszenia, i kto nie był wpisany w listę gości. Wstępnego nie pobierano, — sprzedawano natomiast programy. Musiał więc sąd oskarżonych uwolnić, zwłaszcza gdy burmistrz kościański zeznał, że ogród strzelecki ogrodzony jest tak wysokim i szczelnym płotem, że kto do ogrodu zajrzeć chce, musi się na płot wdrapać. Oskarżeni i temu zapobiegli, nająwszy robotnika, który oprzykrzonych gapiów z płota miał spędzać. — Oskarżonym nie zdołano udowodnić, że zabawa przez nich urządzona była — zabawą sokolską.

Następnie stawali za kratkami członkowie wydziału „Sokoła“ w Czempiniu d.d.: Dybizbański, Iwaszkiewicz, Chmielnik, Kondzia, Gimzicki i Lewandowicz — oskarżeni o przyjmowanie na członków Tow. — terminatorów.

Oskarżenie powstało skutkiem denuncyacyi nauczyciela wieczornej szkoły terminatorów, któremu jeden z uczni na zapytanie, dla czego nosi „sokolika“ — odpowiedział, że jest członkiem „Sokoła.“ Skutkiem tego policya wytoczyła śledztwo, na razie zakazała „Sokołowi“ wszelkich czynności i sporządziła oskarżenie. Sąd uwolnił oskarżonych. Wykazali bowiem, że uczni na członków nie przyjmowali, i że cała ich przewina polega na tem, że naczelnik odbył z uczniami dwie osobne lekcye ćwiczeń. A to jest dozwolone.

Tak więc sąd kościański dwukrotnie musiał wydać wyrok uwalniający. Wzorem tu może być dla innych towarzystw urządzenie zabawy zamkniętej w Kościanie. Szczególnie pamiętać należy: o zaproszeniach, spisie gości — kontroli wstępu i ogrodzenia miejsca zabawy.

* **O nowem bezprawiu** donosi „Dz. Berliński“. Pisze on, że pewien inspektor górniczy na Górnym Śląsku zawezwał trzech górników i zagrożeniem wydalenia wymusił na nich oświadczenie, że wystąpią w przeciągu 2 tygodni ze „Straży“. — Jest to niesłychany gwałt, nadany wolności i swobodzie obywatelskiej owych górników. Jest to jednak zdaje się dopiero wstęp, bo, jak wiadomo, policya poznańska rozsyła po wszystkich urzędach drukowane spisy — członków „Straży“. Czy zarząd „Straży“ spokojnie będzie patrzał na takie bezprawia?

* **Redaktor „Górnoślązaka“**, p. Jan Kowalczyk, który przed dość dawnym czasem podczas podróży zaginął, znajduje się podobno w Wilnie w więzieniu, gdzie go aresztowano pod zarzutem należenia do stronnictwa rewolucyjnego. „Górnoślązak“ zwrócił się, jak donosi, do kanclerza z prośbą o pośrednictwo u władz rosyjskich.

* **Polski Związek Rolny** posłał, jak się dowiaduje „Przyjaciel“, władzom duchownym w Pelplinie i Poznaniu swoje ustawy wraz z listami, w których oświadcza, że pragnie pracować dla ludu wiejskiego na zasadach chrześciańskich, w zgodzie z kościołem i w uległości dla władzy duchownej. W końcu oddaje się „Polski Związek Rolny“ pod opiekę Najprzewielebniejszych Arcypasterzy.

* **Na co ta statystyka?** — „Dz. Berliński“ donosi, że berliński urząd statystyczny rozsyła do różnych Polaków berlińskich, mianowicie takich, którzy mają niemieckie lub z niemiecka brzmiące nazwiska karty drukowane z doniesieniem, że przy spisie ludności dnia 1-go grudnia r. z. na wiele pytań nie dano odpowiedzi, i żąda dania odpowiedzi na następujące pytanie:

„Proszę o odpowiedź, czy Pan, Pański syn Jan, p. W...... i p. J..... *zupełnie dobrze władają językiem niemieckim?*“

„Dz. Berlinsńi“ słusznie radzi na pytanie to nie odpowiadać. Chodzi tu prawdopodobnie o zaliczenie Polaków umiejących dobrze po niemiecku — do Niemców.

* **Wydalony za mowę na wiecu „Straży“** — został włodarz z Żernik należących do dóbr bar. Willamowitz-Möllendorfa, p. *Burzyński*. Donosi o tem „Dz. Kuj.“ pisząc, że p. Burzyński oddał swą sprawę w ręce adwokata i odczeka dalszych wyników prawnych. Zarząd dóbr Markowickich nie miał bowiem żadnego powodu prawnego do wypowiedzenia miejsca; kontraktem pan B. się nie zobowiązał, jak ma czuć i myśleć. Taka niewola ducha istniała chyba w Kamerunie za niedawnych jeszcze czasów wielkorządzcy niemieckiego, pana Jesko Puttkamera. — Niemczyzna — to wolność!

* **Klinika prywatna dra Pomorskiego** dla chorych na cierpienia chirurgiczne, ortopedyczne oraz dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych znajduje się w Poznaniu przy placu Piotra 4. (Petriplatz.) Telefon 893.

* **Ucieczka skazanego na śmierć.** Dnia 10-go b. m. w nocy około godz. 3 i pół udało się skazanemu na śmierć żołnierzowi Rosińskiemu ucieć z tutejszego więzienia wojskowego. Jak wiadomo, skazał go niedawno wyższy sąd wojenny na śmierć za zamordowanie gospodarza Glapy. Cały pułk strzelców podjął pościg za zbrodniarzem, ale zupełnie bezskutecznie. Rosiński już od dłuższego czasu przygotowywał ucieczkę, w tym celu usunął deski pod swojem łóżkiem i zrobił w podłodze taki otwór, że mógł się przedostać do celi, znajdującej się pod jego więzieniem. W tej celi, do której się przedostał, nie było więźnia. Aby omylić żołnierza, mającego straż nad nim i nad skazanym również na śmierć jego towarzyszem Geppertem, położył w łóżko dużą lalkę, zrobioną z prześcieradła i z odzieży. Żołnierz na straży, spoglądając do celi przez okienko, dał się istotnie oszukać. Rosiński otworzył tymczasem zamek dolnej celi, wyszedł na korytarz parterowy, potem na podwórze, wybiwszy miotłą szyby, znajdujące się w drzwiach podwórzowych, i przeszedł przez mur niezbyt wysoki. Przechodząc przez otwór w drzwiach z pewnością się skaleczył o szkło, gdyż widać było ślady krwi na murze i dalej aż do szopy wojskowej niedaleko bramy Rycerskiej. W tę stronę więc biegł zbrodniarz. Na cmentarzu za bramą Rycerską znaleziono splamiony krwią śpiewnik zbiega.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem ujął zbiega pod Obornikami syn mistrza rzeźnickiego p. Adamskiego z Obornik.

* **Na oryginalny pomysł** wpadł p. *W. Stark*, właściciel handlu kapeluszy, rękawiczek i t. p. artykułów w lokalu francuskim: rozdaje kupującym bukieciki fiołków z czerwoną, firmową wstążeczką. Pana Starka polecamy względom łaskawej publiczności.

* **„Sokół“ w Lesznie** pozostał ostatecznie bez lokalu i sali ćwiczeń. W czterech lokalach z rzędu policya spowodowała wypowiedzenie sali Sokołom, grożąc odebraniem konsensu i innemi środkami. Tak donoszą z Leszna do kościańskiej „Gazety Polskiej.“

* **Wybuch Wezuwiusza.** We Włoszech w bliskości miasta Neapolu jest góra, z której od czasu do czasu wydobywa się gorąca i paląca się lawa. W sobotę i niedzielę ubiegłego tygodnia nastąpił straszny wybuch tej góry. Paląca się lawa zalała wioskę w pobliżu, a mieszkańcy okolicznych miasteczek i wsi uciekają w obawie przed straszną katastrofą. Z wybuchem połączone jest trzęsienie ziemi.

* **Obrazek z życia polskiego górnika.** W „Polaku“ posła Korfantego czytamy:

„Nieraz skarżą się u nas robotnicy, iż urzędnicy w brutalny sposób się z nimi obchodzą. Nie tylko darzą ich nikczemnemi i podlemi wyzwiskami, ale czasem się nawet porywają tak dalece, że biednego robotnika czynnie znieważają. Przeczą temu urzędnicy, a ich płatni obrońcy w sejmie pruskim oskarżeniom tym przeczą również. A że tak jednak jest, świadczy znów wypadek, który się zdarzył przed mniej więcej 3 tygodniami w kopalni „Konkordyi“ w Zabrzu.

Na pewnem miejscu pracował 20-letni śleper Tomasz Walczuch. Sam musiał wózki nasypywać i wyciskać. Kto zna ciężką tę pracę, wie, iż człowiek może ustać. Tak się też stało z Walczuchem. Siły go opuściły i nie mógł wózka wysunąć. Nadchodzi starszy górnik Poloczek i nuż biedaka wyzywać od leniucha, gnojka itd. Walczuch żądał, by mu dał pomocnika. Bez uwzględnienia tego życzenia starszy górnik poszedł rozporządzać robotę hajerom. Wróciwszy widzi, że wózek Walczucha stoi na tem samem miejscu. „Ty piorunie, czemuś z tą beczką nie jechał?“ Tak wita biedaka, wymierza mu dwa policzki i rzuca go o ziemię. Walczuch zrywa się z ziemi i chwyta za niecki żelazne. Starszy górnik mierzy kilofkiem Walczuchowi wprost w zęby, lecz tenże szybko cios odparł nieckami. Poloczek rzuca kilofek, Walczucha rzuca na ziemię, klęka mu na piersiach, bije go pięściami po twarzy, po głowie, po piersiach, potem okłada go obuchem kilofka, jak zwierzę pastwi się nad swoją ofiarą. Okrytą sińcami ofiarę ta bestya w ludzkiem ciele wlecze po ziemi aż do zawalisk. Tam go katuje dalej w straszny sposób dopóty, dopóki biedak nie utracił przytomności i nie zaniemówił. Hajerzy biedakowi pobiegli na ratunek i bestyę ściągnęli z ofiary. Ale jeszcze jej nie popuścił. Zawlókł go znów do ganku i tam omdlałego dopóty bił kilofkiem pod kolana i po łydkach, aż odzyskał przytomność. Walczuch przeleżał tydzień w szpitalu, kazał sobie wystawić świadectwo lekarskie i oddał sprawę prokuratoryi. Za to, że śmiał zawezwać obrony sądu, wydalono go z pracy. A nadsztygar Waniek oświadczył ojcu Walczucha, że jeśli tę sprawę oddadzą do sądu, to i starego wydalą z roboty.“

Od Redakcyi.

Panu L. Por. w Hanowerze. — Sprawę tę oddaliśmy natychmiast „Straży,“ która Szan. Panu da odpowiedź

Nadzwyczajny dodatek do nr. 15-go „Pracy."

Rozprawy nad § 130 o podburzanie do gwałtów.

Mowa
posła Bernarda Chrzanowskiego

wygłoszona w parlamencie niemieckim w środę, 14-go marca.

(Ciąg dalszy).

Wicemarszałek hr. Stolberg-Wernigerode: Panie pośle, twierdziłeś pan, że w kołach ludności polskiej panuje zdanie, iż sędziowie postępują wbrew lepszemu przekonaniu. Tego panu mówić nie wolno.

Poseł Chrzanowski: Niestety nikt nie wierzy w bezstronność tych sądów.

(Dzwonek marszałka).

Wicemarszałek: Panie pośle, powołuję pana do porządku.

Poseł Chrzanowski: Mości panowie! Podczas najsilniejszego prześladowania Polaków i Litwinow w Rosyi — przed 10 laty — przyszło do wielkiego procesu politycznego w Wilnie. Chodziło tam o powstanie, naruszenie spokoju publicznego, opór przeciwko władzy, przeciwko gubernatorowi itd. Najlepsi adwokaci rosyjscy przyszli z pomocą oskarżonym, nie Rosyanom, i sąd rosyjski skazał wprawdzie oskarżonych, ale na najniższe kary i polecił ich sam łasce carskiej. Oby sędziowie pruscy wzięli sobie za przykład tych sędziów rosyjskich.

Ta sprawiedliwość sądów pruskich pociąga za sobą szereg następstw. Jeżeli sądy pruskie tak postępują, musi to zachęcać prokuratorów pruskich. To też prokuratorzy po prostu niepokoją życie publiczne oskarżeniami, podnoszonemi na podstawie § 130. Przedkładam tutaj oskarżenie prokuratoryi w Gliwicach z dnia 12-go września 1904 roku. W gazecie „Głos Śląski" znajdował się w pewnym artykule następujący zwrot:

Żelazną jest ręka systemu pruskiego, która ciąży na naszem życiu polskiem. Zdaje się jakoby chodziło mu o wywołanie przestrachu przez srogość, o uciemiężenie ducha, energii i pracy.

Na podstawie tych dwóch zdań wytoczono redaktorowi skargę w myśl paragrafu 130 i 131.

(Słuchajcie! słuchajcie! u socyalistów).

Nawet przeciwko pieśniom nie stojącym w najmniejszym związku z paragrafem 130 podnoszą prokuratorye skargę, nawet, gdy chodzi tylko o piosnki wesołe, skoro tylko w nich jest mowa n. p. o „całej Polsce", albo gdy zachodzi „kosa".

(Wesołość).

Składam tutaj dwie takie piosnki na stole Izby, ułożone w zeszłem stuleciu po powstaniu w roku 1831 przez polskiego poetę Wincentego Pola, obie popularne: „Piękna nasza Polska cała" i „Hej tam w karczmie za stołem". Członkowie wysokiej Izby po przeczytaniu tych piosneczek przekonają się, że chodzi tu o karkołomne oskarżenie. Podniosła je prokuratorya w Poznaniu. Nawet obrazy odnoszące się nie do wydarzeń z czasów o niepodległość, ale nawet do dawniejszych zajść z polskiej przeszłości mają — zdaniem prokuratoryi — zawierać przestępstwo przeciwko § 130. Przedkładam tutaj 2 takie obrazy. Na jednym z nich wyobrażony jest sarkofag z matroną i dwoma chłopcami. Podpis brzmi: Teofila Sobieska z synami swymi, Markiem i Janem przed grobem hetmana Żółkiewskiego; uczy ona swoich synów, jak trzeba żyć i umierać za Ojczyznę.

Jest to obraz Walerego Eljasza. Prokurator sądu ziemiańskiego w Gnieźnie przyznaje wprawdzie, że hetman Żółkiewski za czasów polskiego króla Zygmunta walczył tylko z Rosyanami i Turkami, a więc nie z Prusakami! Ale pisze on dalej: Znaczenie obrazu w obecnych stosunkach w dzielnicach polskich pod panowaniem pruskiem może być tylko to, żeby wskazać Polakom na oswobodzenie tych dzielnic z pod panowania pruskiego przez wojnę, a więc przez gwałt.

(Wesołość).

Drugi obraz przedstawia postać kobiecą, otoczoną gronem kobiet, w chwili, gdy zamierza rzucić się w rzekę — znany obraz malarza Antoniego Piotrowskiego. Jest to legendowa księżniczka Wanda, która nie chciała wyjść za Niemca i dla tego się utopiła. — W sprawie tych dwóch co dopiero przedłożonych obrazów prokurator nie wzdrygał się założyć rewizyi przeciwko uwalniającemu wyrokowi.

W tych ostatnich wypadkach nastąpiło wprawdzie uwolnienie; ale jak wogóle było możliwem, że w Gliwicach, Poznaniu i Gnieźnie znalazły się sądy, które proces wytoczyły? Jak mógł w sprawie ostatniego obrazka sędzia okręgowy w Jarocinie dnia 8-go listopada 1904 roku uznać, że jest on charakteru podburzającego i nakazać jego konfiskatę?

Dalszem następstwem tego postępowania sądów i prokuratorów jest to, że policya w kierunku prześladowania wszystkiego, co tylko mogłoby obudzić ducha narodowego Polaków, może się poszczycić wprost wspaniałemi sukcesami. Przedkładam na dowód dokumenty — pocztówki z widokami, skonfiskowane przez policyę w Jarocinie dnia 12-go października 1904. Jest tu najpierw obrazek Kościuszki samego, tu drugi Kościuszki razem z Waszyngtonem i Jeffersonem a tu trzej poeci polscy: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński. Na tej tu pocztówce znajduje się tylko orzeł górski i krajobraz z gór, a na ostatniej najniebezpieczniejszy symbol — sokół, siedzący na drzewie.

(Wesołość!)

Pocztówki te były przez cały miesiąc w więzieniu u prokuratoryi w Ostrowie. Dopiero za mojem wstawieniem się wypuszczono je z niewoli. Poszukując takich obrazków, policya nie poprzestaje na przetrząsaniu składów papieru i księgarń, węszy ona za niemi także w lokalach towarzystw polskich. Każe tam zdejmować ze ścian obrazy królów polskich, jak n. p. w sprawie Kuchema w Reklinghausen, albo w sprawie Towarzystwa św. Stanisława w Herne. Policya wywołuje śledztwa z powodu zawieszenia portretu naczelnika Sokoła w Poznaniu, ponieważ policyant uważał portret ten za króla polskiego: sprawa E. Musielaka w Gelsenkirchen; nakłada kary na restauratorów, skoro w lokalach swoich zawieszają polskie obrazy symboliczne: sprawa karna E. Wierzejewskiego w Wągrówcu. Policya wzywa Polki do wyjmowania z uszu kolczyków polskich, zdziera drużbom czerwono-białe wstęgi, jak się to stało w Obornikach, prześladuje stuletnie stroje polskie, jak n. p. konfederatki.

Mam w ręku trzy wyroki w sprawie karnej przeciwko Kędziorze: sądu ławniczego, ziemiańskiego i kamergerychtu, w których podniesiono oskarżenie z powodu noszenia konfederatki. Sąd pierwszej instancyi w Żninie skazał nawet oskarżonego dnia 25 września 1904 roku! Nie tylko stroje narodowe, ale nawet takie, które wśród ludu polskiego okazały się praktycznemi, podlegają prześladowani ze strony policyi.

Mam tutaj dalsze 2 wyroki — sprawa karna przeciwko Michalskiemu i towarzyszom.

Z powodu tej oto czapki, t. zw. maciejówki, którą składam na stole Izby, i która używaną jest pod zaborem pru-

skim od lat przeszło 50, wytoczono skargę o „grubą swawolę“.

(Słuchajcie! słuchajcie! — Wielka wesołość).

Prokurator miał odwagę założyć apelacyę i sprawa znajduje się obecnie przed kamergerychtem. Prawda, że w tych dwóch wypadkach oskarżenie mówiło tylko o „grubej swawoli“, ale jeżeli sądy w dalszym ciągu używać będą § 130 w sposób przezemnie przytoczony, to za 2 albo 3 lata i za noszenie takiej czapki można spodziewać się oskarżenia o podburzanie do gwałtów.

(Bardzo słusznie! u Polaków i na lewicy).

Skutkiem takiego postępowania sędziów pruskich, prokuratorów i policyi wytwarza się powszechna niepewność prawna; na ludności polskiej ciąży jakoby stan oblężenia. Publicyści polscy zapytują się prawników, co wogóle jeszcze wolno pisać; dokładnej odpowiedzi wobec takich stosunków i najdoświadczeńszy prawnik udzielić im nie może. Jak za najgorszych czasów cenzury rosyjskiej, wytwarza się styl i język niewoli, wszyscy starają się pisać i czytać pomiędzy wierszami. Księgarze nie wiedzą już, jakie książki mogą mieć na składzie, jakie dawać do druku.

Jedną z najniebezpieczniejszych osobistości, prześladowaną przed wszystkimi innymi przez prokuratoryę pruską i policyę, jest postać Tadeusza Kościuszki. W pewnym procesie politycznym powiedział prokurator pruski, że imię Tadeusza Kościuszki obudza wspomnienia ludności polskiej w kierunku rewolucyjnym. Dla tego prześladowanem bywa wszystko, co tylko ma jakiś związek z jego imieniem, a więc portrety, które codopiero pokazywałem, książki opisujące jego życie, pieśni opiewające go, obrazki przedstawiające, wydarzenia z jego epoki. — Prezydent Stanów Zjednoczonych powiedział niedawno przy odsłonięciu pomnika Kościuszki w Chicago, że Kościuszko powinien być czczonym nie tylko przez Polaków, nie tylko przez obywateli Stanów Zjednoczonych, ale przez wszystkich przyjaciół rządów, uznających swobodę.

(Bardzo słusznie! u Polaków.)

W Prusach — oczywiście konfiskuje się obrazy Kościuszki razem z obrazami Waszyngtona i Jeffersona, przyjaciela Kościuszki!

To uczucie niepewności prawnej sięga tak daleko, że czasem zniewala publicystów polskich do fałszywego przedstawiania historyi. Mam przed sobą popularną książkę, opisującą życie Tadeusza Kościuszki, a wydaną w Poznaniu. Jak wiadomo Kościuszko podczas walk w końcu 18. stulecia bił się nie tylko z Rosyanami, ale w bitwie pod Szczekocinami — zwanej także pod Rawką — jako też podczas obrony Warszawy walczył z Prusakami. Autor wymienionej książki historycznej nie wspomina jednak ani słowem o Prusakach, tylko o Rosyanach! — z obawy żeby czasem nie wytoczono mu procesu o podburzanie do gwałtów na podstawie § 130.

(Słuchajcie! słuchajcie! u socyalistów)

Pewien handlarz zabawek w Poznaniu oświadczył mi, że nie ośmieliłby się wystawić w oknie żołnierzy ołowianych, przedstawiających bitwę pod Racławicami, bojąc się procesu o podburzanie do gwałtów.

(Słuchajcie! słuchajcie! u socyalistów)

Mam tutaj list przewodniczącego Tow. Sokół w Duisburgu. Pisze on, co następuje: W towarzystwie naszem zakazuje policya śpiewania wszystkich pieśni. Proszę o przysłanie spisu tych pieśni, które jeszcze śpiewać wolno.

Inny przewodniczący Tow. Przemysłowego w Nowem w Prusach Zach. był tyle ostrożnym, że kazał sobie przynieść z policyi wykaz pieśni zakazanych i podczas zabawy letniej nie pozwolił śpiewać pieśni w zakazie wymienionych. Niestety ów spis policyjny był zdaje się kilka miesięcy za stary, (słuchajcie! słuchajcie! u socyalistów) tak że później wydano nowsze wyroki. Wytoczono mu więc proces na podstawie § 130. (Słuchajcie! słuchajcie!) Pozatem był on jeszcze do tego stopnia ostrożnym, że w jednej z pieśni słowa: „Hej kto Polak do bagnetów!“ zmienił na „Hej kto Polak, do pracy!“ Ale prokurator orzekł, iż chodzi także o melodyę — i izba karna w Grudziądzu skazała oskarżonych na podstawie § 130 w dniu 29 kwietnia 1905 r.

(Słuchajcie! słuchajcie i wesołość na ławach socyalistów.)

Niepewność prawna staje się jeszcze większą przez to, że sądy wydają wyroki nierówne, ponieważ porozumienie często jest niemożliwem: Jeden sąd w jakimś wierszu dopatrzy się przestępstwa przeciwko § 130, drugi nie. I tak n. p. w piosence „Piękna nasza Polska cała“, złożonej przezemnie na stole Izby, znalazła bytomska Izba karna dnia 21 września 1904 r. przestępstwo przeciwko § 130 kodeksu karnego, ale Izba karna w Poznaniu dnia 27 września 1904 r., a więc 6 dni później wydała wyrok uwalniający w tej samej sprawie.

Dalej pieśni Mosena „W Warszawie tysiąc przysięgło rycerzy“ uważała Izba karna w Bytomiu dnia 21 września 1904 r. za podburzającą, natomiast Izba karna w Poznaniu wydała wyrok uwalniający dnia 22 listopada 1904 r. Dwie gry J. Chociszewskiego dla młodzieży p. t. „Odra“ i „Podróż po ziemi polskiej“ uważała Izba karna w Gliwicach dnia 29 stycznia 1904 r. za podburzające, natomiast Izba karna w Gnieźnie uwolniła je od tego zarzutu dnia 13 lutego 1905 r.

Zdarzają się nawet wypadki, że jeden i ten sam sąd w rok później wydaje wyrok całkiem odmienny. N p. Izba karna w Poznaniu dnia 21 marca 1903 r. uważała pieśń Mosena „W Warszawie tysiąc przysięgło rycerzy“ za podburzającą, a ten sam sąd wydał wyrok uwalniający w tej samej sprawie dnia 22 listopada 1904 r. Przy sądach wytwarzają się szczególniejsze poglądy.

Sądy uważają n. p. daną pieśń za podburzającą, jeżeli razem z innemi pieśniami znajduje się w śpiewniku, a za niewinną jeżeli wydrukowaną jest osobno. Wtenczas traci charakter podburzający. Albo też obraz uważa się za podburzający, ponieważ rozszerzany bywa hurtownie; ale skoro takie rozszerzanie hurtowne stwierdzić się nie da, sąd jest zdania, że obraz traci charakter podburzający.

Do tej niepewności prawnej, powstającej skutkiem praktykowania paragrafu 130 w podobny sposób, dochodzi wielkie rozgoryczenie i wzburzenie wśród ludności polskiej, ponieważ takie zastósowanie § 130 dotyczy tylko nas Polaków, a nie Niemców. Prokuratorya pruska mogłaby przecież wobec prasy niemieckiej również podnieść oskarżenie na podstawie § 130. – Musi ona tylko niemieckie artykuły prasowe traktować w ten sposób, jak polskie, tj. wyjąć poszczególne zdania, połączyć je, symboliczne i retoryczne zwroty brać dosłownie i — oskarżenie jest gotowe. Odczytam tu n. p. poszczególne zdania z artykułu „Pos. Tageblatu“:

Miasto Poznań jest na najlepszej drodze do stania się Pragą pruską... nie możemy naszej nadziei pokładać jedynie na władzy państwowej... musimy walczyć... akcya państwowa może tylko utorować drogi; maszerować i bić się musimy sami... Zdajmy sobie sprawę z tego, że tylko radykalny radykalizm popchnie nas naprzód... Mąż przeciwko mężowi, tłum przeciwko tłumowi... Równe prawa dla wszystkich, to zasada, która tutaj ma znaczenie i może mieć znaczenie jedynie dla poety...

Odczytam podobne wywody z mowy podczas 10-letniego jubileuszu „Ostmarkenferajnu“ w Poznaniu.

(Dokończenie nastąpi.)

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

5) (Ciąg dalszy.)

— No, moja Antoniowo, jeżeli wam zaprzykro o tem mówić, toć nikt was nie zmusza, rzekła pani Iza. Wiemy, że to nie rozkosz wspominać swoje nieszczęście i wstyd. Ot godzina nabożeństwa się zbliża, pójdźcie do kościoła, Bogu się poskarzcie, w modlitwie szukajcie ukojenia.

Konarka obróciła na nią oczy zdziwione, jakby jakaś nowa myśl uderzyła jej mózg.

— Idźcie do kościoła, powtórzyła pani domu. Marya, Matka Bolesna, wycierpiała więcej pod krzyżem ukochanego syna i my tam dążmy po lekarstwo w cierpieniu.

Wolno, jak automat, zawisła niejako na ustach pani, posuwała się Antoniowa ku niej, aż znalazła się tuż przed nią, obsunęła się do kolan, padła twarzą na posadzkę i piersi jej poczęły podnosić okropne, rozdzierające łkania; płacz spazmatyczny płynął straszną, wstrząsającą gamą, przerywany od czasu do czasu jękiem do ryku podobnym.

— Wody, wody! — zawołał pan Jan.

Wanda nachyliła się nad kobietą z buteleczką eteru, rozcierając jej skronie.

— Zostawcie, pozwólcie jej się wypłakać, rzekła pani Iza do dzieci, łzy to lecznicze, po których nastąpi uspokojenie.

I znowu jęki bolesne były jedynym głosem rozbijającym się o ściany Męcińskiego dworu. Chłopi widząc te łzy, rozczulili się także, coraz częściej jakaś dłoń spracowana ocierała oczy. Wszystkie trzy panie płakały cicho, tłumiąc łkania.

Od kilku chwil chłopiec idyota, rozglądający się dotąd bezmyślnie po ludziach, zaczął zdradzać jakiś niepokój; długi płacz matki przeniknął ciemne zakątki jego zmąconego mózgu i nagle jakby zrozumiał, że coś strasznego z nią się dzieje, rzucił się ku niej z rozdzierającym krzykiem. Konarka porwała się, dziecko przygarnęła do siebie i siedząc na podłodze, tuliła je z niewymowną czułością.

— Cichoj, synuś, cichoj, mama da cukru.

Wanda przywykła do uspokajania dzieci przysmakami, otworzyła już do kredensu i wyjęła ciastko, które malec schwycił łapczywie, wydając przytem przykry, dojmujący chichot.

Konarka stłumiwszy płacz, poczęła mówić przeciągłym, zawodzącym głosem:

— Czy to jo mu kazała się żenić? Dziwką byłam do czterdziestu lat i dobrze mi było u rodziców, toć gospodarkę mieli i wszystkiego było dostatek. I jeżelim za mąż wcześniej nie poszła, to też nie bez to, żebym już tak docna brzydka była, abo, żeby mi się nie trafiało, ino nie chciałam za pierwszego pójść. I cosik mnie urzekło, że mi on buncwot w oko wpadł. Rodzice nie dawali, mówili: 20 lat młodszy, niewieda skąd przyszedł, nic nie mo!... co ci potem! Ale!... z młodą trudno, ale jak stara dziwka zgłupieje z kochania, to i sam djabeł nie zaradzi. Poszłam za niego i nie mogę powiedzieć, w pierwszych latach dobry beł, ino jak tę szelmę zobaczył, to mu widać coś zadała. Łajdaczyła się i z Wawrzkiem i z Józkiem i ze starym Noszczykiem, jego przekpiwała, potrącała, a on nic ino za nią, jak za słonkiem poglądał. Co ja się odtąd nacierpiała! Jezusie! Dobrego słowa mi nie dał, ino: ty staro! ty koszlawo! Jak mu ona łajdaczka docna dojadła, to się upił, a potem bił, bił za nic i gdzie popadło; zęby mi dwa wybił, ten palec tak mi przetrącił, że już taki krzywy ostał, a tych sińców, tych ran, to nie naliczyłabym i wszystko za co? za moje serce, za moje kochanie! Kazałam mu się to żenić? Mamiłam go Oszukałam go? Nie! Nigdym mu marnego słowa nie rzekła, najlepsze jadło mu dawałam, koszule mu tak doprałam, że miał białe, jak pon. A on nic, jeno kląć i bić!... A jak ją tamci rzucili i znowu mego przynęciła, to jeszcze gorzej beło; wzion zasługi, wzion na jęczmień, wszystko dla niej, a niech jo się odezwę, że w chałupie nie ma grosza, że trza mąki kupić, albo jagieł, miałam ja wtedy, miałam!...

Załkała znowu spazmatycznie.

— No, no, rzekła pani Iza. Po co wspominać te smutne rzeczy. Bogu ofiarujcie, coście przecierpieli na intencyą dziecka waszego.

— Jak wczoraj przyszedł, a pedział, że go na wojnę biero, taki mnie żol chwycił, że mu wszystko z serca darowałam. Myślę sobie: nacierpisz ty się biedoku, więcej, jak jo się nacierpiała, a może cię zabijom, może ostatni raz cię oglądam.

I takiem powiedziała sobie, że pewnie on mnie o przebaczenie będzie prosił, to mu wszystko odpuszczę i na tę ciężką drogę dam 15 rubli, z tych pieniędzy, com uciułała, a przed nim dużo czasu skrywała. I takiem przedstawiła sobie, jak on się ucieszy, jak podziękuje, jak się popłaczemy oba! I byłabym go uściskała i darowała wszystko, jak matka dziecku, boć mógłby mi synem być. A on, ścierwo do tej łajdaczki ino gnał i nie byłby nawet dziecka pożegnał, żebym go nie poprosiła. Tego ja mu nie daruję nigdy! nigdy!

O szyby okien uderzył głos dzwonu.

— Na nabożeństwo czas, — rzekł jeden z gospodarzy.

— Idźcie, idźcie, przyjaciele, — mówiła podnosząc się pani Iza, — w kościele spotkamy się jeszcze i złączymy w wspólnej za wasze powodzenie modlitwie.

Chłopi poczęli ściskać kolana państwa, wychodząc kolejno. Konarka wzięła chłopca za rękę i wyszła groźna, prawie nieprzytomna.

Płacz był wielki tego dnia w kościele.

Ksiądz przemówił krótko, lecz w serdecznych słowach do odchodzących, potem odprawił nabożeństwo z wystawieniem Najśw. Sakramentu, a w końcu śpiewano: „Święty Boże“, aż mury świątyni drżały. Gdy po nabożeństwie wyległo wszystko przed kościół, Wanda zbliżyła się do stojących w gromadzie Browarskiego i Niekrasza, dała im znak, rzucili towarzyszy, zbliżając się do niej z odkrytemi głowami.

— Ja wam chciałam, gospodarze, dać te medaliki na pamiątkę, jest ich 24, rozdacie wszystkim, są poświęcane i dziś przez całe nabożeństwo modliłam się gorąco, żeby Bóg pozwolił im być dla was puklerzem w niebezpieczeństwie. A tu macie kilkanaście książek, droga długa i monotonna, to będziecie czytywać sobie i innym; nudy się skrócą i jakaś korzyść będzie.

— Niech panience Bóg i Panna Najświętsza nagrodzą, — rzekli chłopi, chyląc się do jej ręki i przyjmując zawiniątko.

— A jakbyście tam spotkali panicza, pana Wacława, to powiedzcie... — Zawahała się, nie wiedziała właściwie

co ma polecić tym przyszłym towarzyszom niedoli ukochanego człowieka, tylko czuła nieprzepartą potrzebę mówienia o nim. Spostrzegłszy swą niezręczność, urwała, oczy jej się zaszkliły łzami i szepnęła tylko: Niech was Bóg prowadzi!

— Hej, wojaki! — zakrzyknął krewki Niekrasz, — pójdźcie no haw podziękować panience.

Rzuciło się wszystko ku niej.

— Panienka opatrzyła nas tu w medaliki święte i książki, rzekł Browarski.

Wszyscy zaczęli się chylić do jej rąk i kolan, a ona stała wśród nich jak lilia biała, zmieszana, zawstydzona swą krasą, cofając ręce i powtarzając:

— Ależ nie ma za co! nie ma za co!

Sołtys nawoływał do odjazdu. Podniósł się lament i krzyk. Dzieci zanosiły się od płaczu, kobiety wieszały się na szyi mężów, niektóre siadały na furmanki, aby odwieść ich do gminy. Kilka rzuciło się przed konie, mówiąc, że nie dadzą ruszyć, więc inni chłopi podnosili desperatki, pomimo ich protestów i oporu. Furmanki zapełniły się powoli i ruszyły w stronę gminy, jechał cały ich szereg, a za niemi biegł tłum kobiet, postrojonych w barwne wełniaki, kraciaste i kwieciaste chustki, jękiem i płaczem przeprowadzając przyszłych obrońców obcej i wrogiej krainy.

Na wzgórzu, pod krzyżem stał proboszcz, młody, o inteligentnej twarzy mężczyzna, błogosławiąc odjeżdżających, a w uszach upornie brzęczały mu słowa:

— „Rozmnożę was jako piasek morski, rozrzucę od wschodu do zachodu, krwią waszą użyźnię mnogie krainy, a w krwi tej wasze odkupienie.“

VI.

Po dniu pogodnym nastąpiła noc jasna, gwiazdzista, ciepła prawie jak latem. Pod rozłożystym dębem, sypiącym jeszcze resztkami barwnych liści, spał Antoni Konar, złożywszy głowę na kolanach Kazimierki. Jej obfite warkocze [illegible] na tyle głowy, wspartej o pień drzewa, starczyły za poduszkę. Nagle wśród konarów przeraźliwie [illegible] pućka, drgnęła Kazimierka, przetarła oczy, [illegible] zaczęła wstrząsać ramieniem mężczyzny.

— Antoś, pora nam iść.

Zaspany obruknął się i wcisnął mocniej twarzą w jej kolana.

— Antoś wstań, gwiazdy już pobladły, trza nam iść w drogę.

Gwałtem uniosła go i posadziła. Otworzył oczy i zaczął się przeciągać, poziewając głośno.

— Cichoj, głupi, cichoj na miłość Bożą. Chcesz, żeby cię strażniki usłyszeli.

Obejrzał się trwożnie i szepnął.

—A niechże ręka boska!....

Chwilę posłuchał, potem ręce wsunął w rękawy i wstrząsnął się.

— Zmarzłem jak kość!

— I mnie nie ciepło, a i głodna jestem jak pies.

— Żeby tak kropla gorzałki!

— Napijemy się w Prusach.

— Spijemy się jak bąki.

— Pewno.

Znów nastała chwila milczenia. Antek siedział z łokciami wspartemi na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach, nagle, nie podnosząc jej, wyszeptał.

— Helka.

—Hę?

— Ciągiem mi się zdaje, że słyszę jak staro klnie, bodaj cię pierwsza kula nie minęła, bodaj nie mioł kto ci [illegible] zamknąć!...

— Znowuj zaczynasz bredzić! przerwała Kazimierka. Jak mnie masz ciągiem tem wspomnieniem truć, to rzucę cię tu na drodze i sama pójdę w świat.

— Co ty gadasz, kobito! a dy ja bym zmarniał. No, no, Heluś, już ja nie będę cię martwić, ino widzisz czasem, to mnie taki strach weźmie, aż mi włosy na głowie powstają.

— Takiś to i chłop!

— Jakiem zasypiał, to mi sowa tak huknęła nade łbem, ażem się przeżegnał.

— To i dobrześ zrobił, mówią, że złe czasem w sowę wchodzi.

Antek zrobił znak krzyża.

— Chodźma z pod tego dębu, rzekł.

— Bo też i pora.

Szli jakiś czas w milczeniu. Antek znów przerwał je po chwili.

— Po co ona mnie tak klena? Człeku i tak nie lekko na świecie.

— Psie głosy nie idą w niebiosy!

— Gdzie ta psie! Toć to moja prawa żona i ja ją ukrzywdził. Za to Pan Bóg karze.

— Głupiś! Jeszcze dziewuchą będąc za pokojówkę służyłam w mieście u doktora. Miał on młodą, śliczną żonę, a i tak z drugą żył i to z prostą żydówką, ino, że ją pięknie z pańska stroił. Miała mieszkanie i służbę i wszystko jej: proszę pani, mówiło. To to była krzywda tej żonie, a jednak nic mu się nie stało; pieniądze miał, zdrów był, dzieciska mu się chowały i ładno.

Wyszli na brzeg lasu. Antek przystanął.

— Trza się rozejrzeć.

Przed oczami ich ciągnęła się łąka, gdzie niegdzie krzakami urozmaicona. Kazimierka wytężyła wzrok i przez chwilę patrzała z wielkiem skupieniem, potem szturchnęła Antka.

— Widzisz jak się tam coś błyszczy?

— Widzę, musi kałuża być.

—Gdzie zaś, to rzeczka, patrz za temi krzakami błyszczy się znowu, kręto jest. Za tą rzeczką już Prusy.

— Bogu chwała, ale najgorzej tero tę łączkę przelecić, jakby tu obieszczyk był to nas ma jak na rżysku.

— To by już niechybny koniec był.

— Strasznie jasna noc.

— Lepiej belo wczoraj zaraz wedle Wrzosowej się przekraść, tak jak ja radziłam.

— Taka goła okolica. Widzieliby nas o wiorstę.

— Noc była czarna, to by tak łacno nie dopatrzyli, a na taką psotę to i strażnik nierad z pod jakiego drzewa, czy krzaku ruszyć. Dziś muszą jeździć po granicy jak na spacerze.

— Czekajmy zaś do jutra jeszcze.

— Abo do niedzieli!... Nie potrzebuję!... Człek dosyć dzień i drugą noc głodu przymiera! Czas mi na pruską gorzałkę! Kiejś tchórz ostań tu, abo do starej wróć.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, chodźmy.

Ruszyli oglądając się trwożnie.

— Zegnij się, idź prawie na czworakach, jako ja, upominała kobieta.

Skradali się chwilę, która wiekiem im się wydała. Nagle z oddali doleciał ich wyraźnie tentent konia.

— Antek rzuć się na brzuch, szepnęła rozkazując Kazimierka.

Przypadli oboje do ziemi. W kilka minut później o 50 kroków za nimi przegalopował konny obieszczyk.

Odgłos kopyt ucichł już dawno, a oni jeszcze leżeli chłodnym potem oblani. Pierwsza podniosła się kobieta.

— Chodź, szepnęła.

Podniósł się i znów trwożnie rozejrzał dokoła.

— Gwiazdy już docna zbladły.

Skradali się znowu. Kręta wstęga rzeczki srebrzyła się już o kilkanaście kroków przed nimi. Serca biły im gwałtownie. Nagle o kilka staj, jak z pod ziemi wyrósł drugi obieszczyk. Wielka jego szynelem okryta postać, zarysowała się ciężka i groźna wśród bladnącej nocy.

— Postoj! krzyknął donośnie.

Na ten okrzyk oboje wyprostowali się nagle i rzucili się co sił do ucieczki. Obieszczyk skoczył do konia, uwiązanego przy krzakach. Chwila jeszcze, a już kopyta końskie dudniły po łące, ale jednocześnie plusk wody dowodził, że uciekinierzy wskoczyli do pogranicznej rzeczki. Jakoż za chwilę dwie postacie zaczęły biedz co tchu po pruskiej już ziemi i przodem o kilka kroków przed Antkiem biegła Kazimierka.

Padł strzał.

— Jezus Marya! — rozległo się w powietrzu, a potem żałosne, żebrzące:

— Heluś! Heluś! ratuj! daj rękę! pomóż wstać, bo mnie wezmą, Heluś, Heluś, Heluś!

Jęk płynął coraz słabszy, ale ona gnała naprzód ogarnięta nieopisaną trwogą, jakimś szalonym rozpędem. Dzień już był na niebie, gdy zziajana, spocona, zatrzymała się przy głębokim rowie oddzielającym pole od starannie utrzymanej drogi. Obejrzała się trwożnie; za nią, jak okiem sięgnąć równe, zorane pole, wokoło niczem niezamącona cisza. Przeżegnała się i wsunęła rękę za koszulę. Namacała skradzione pieniądze i odetchnęła z ulgą. Siadła na burcie, otarła spocone czoło i teraz dopiero spostrzegła się że zgubiła chustkę, która w ucieczce musiała jej spaść z ramion.

— Psiakość! taka piękna chustka, od Noszczyka... Ale biegłam ciągle polem, to nie gościniec, nikt tam nie chodzi, i to nocą, musi gdzieś leżeć, warto wrócić po nią.

Zawahała się chwilę.

— Juści, że wrócę, co mi tero ma grozić Toć Prusaki krzywdy mi nie zrobią. A mogłam zgubić dopiero za rzeką.

Zaczęła iść, ale już wolno, przystając i wypoczywając często, nogi bowiem drętwiały jej przy stąpaniu po świeżo oranej ziemi. Teraz dopiero przyszedł jej na myśl Antoni.

— Ostał. Czyby go kula trafiła? czy go on Moskal dopad? Może go wzieni!... Dobrze, że paszport od niego odebrałam, zawdy kobiecie ciężko przez nijakiego dokumentu; lata wprawdzie inne są, ale i pieniądze mom, to mi ta pisarz za rubla, dwa lata przemieni... Wzieni go... no... też nie chybki w nogach... Zawdy to liche było. A może ino osłabł i leży gdzie w krzakach... trza uważać. Jeżeli go wzieni, to tem lepiej, że paszportu nie miał przy sobie, głupi byłby podać się jako jest Antoni Konar do wojska należący! To potrzymają go w kozie i puszczą; jeszcze do mnie trafi.

Zdala spostrzegła na czarnej, doskonale uprawnej ziemi czerwieniącą się chustkę, dar starego, wstrętnego, lecz bogatego kochanka. Biła w oczy purpurą tła, pstrzyła kwieciem rozrzuconych na niej bukietów. Kazimierka przyspieszyła kroku. Nagle coś jak ptak zestraszony załopotało jej w piersiach. Po za chustką szarzała na ziemi jakaś postać, rozpaczliwie sztywna i rozpostarta. Doskoczyła Kazimierka, teraz mając już pewność. Na ziemi w zmoczonem ubraniu, bez czapki rozkrzyżowany leżał Antoni. Oczy jego szeroko otwarte, bielmem śmierci zaciągnięte, wyrażały taką trwogę, taki bezmierny ból, twarz cała miała taką grozę w sobie, że Kazimierka zasłoniła się rękoma i stała jak skamieniała; w piersi jej po raz pierwszy obudziło się coś jak wyrzut sumienia i poczucie popełnionej zbrodni. Drżąc jak we febrze odsłoniła znów oczy, a gdy po raz wtóry wejrzała na tę twarz straszną wybuchła łkaniem i zawodzeniem.

Jakby wywołany zaklęciem, na drugim brzegu strumienia, stanął żołdak moskiewski, przyglądając się ciekawie płaczącej kobiecie. Twarzy jej nie widział, ale jej rosła postać, piersi hardo rozsuwające kaftanik, olbrzymie warkocze spływające wzdłuż ramion, musiały czynić ją ponętną niezmiernie, bo żołdak wystąpił nagle w roli zalotnika.

— Za czto rydat krasawica? ubili tebie muża ili lubownika? Budet drugoj. Prekrasnych głaz żałko, pocełowat by ich żełał sowodnia jeszczo. Podożdi menia posle obedni w karczmie u Frista; prijdu, da polublu.[1]

Kazimierka odsłoniła twarz.

— Prelest' kakaja krasawica.[2]

Stała chwilę jak odurzona, u nóg swych miała trupa człowieka, który ją kochał, którego przywiodła do zguby, przed sobą pierwszy raz widzianego, może zabójcę, ale który mówił jej czułe słowa, zachwycał się pięknością. To ostatnie wrażenie było najsilniejsze, wspomniała swą urodę, szczęście do mężczyzn i przyszło jej na myśl, że to, co uważała za największy dar Boży, pozostaje przy niej i daje możliwość używania życia. Teraz szczególniej, gdy ma pieniądze... I oto zapragnęła jak najprędzej uciec od tego, co należało do przeszłości, gdy jeszcze biedną wyrobnicą była.

Schwyciła więc chustkę z ziemi i chciała odejść, ale uczuła ze zgrozą, że coś ją trzyma; frendzla chustki kurczowo była przytrzymana ręką trupa, oplątana o skostniałe palce, widocznie schwycił się jej w chwili ucieczki, chcąc przytrzymać uciekającą kobietę. Kazimierka szarpnęła raz i drugi, ręka nie puszczała. Uklękła więc i nachylona, gorączkowo odgryzała kawałki uwięzionej frendzli. Czuła chłód lodowatej ręki tuż przy swej twarzy i dreszcz nią wstrząsał. Uwolniwszy chustkę okryła się nią; a czując, że powinna zrobić coś dla tego nieszczęśliwego, uklękła przy ciele, ale gdy znów oczy jej przeszły od tej twarzy strasznej do ręki zaciśniętej, wśród palców, której kawałki frendzli czerwieniły się jak krwi kropelki, ogarnął ją znów lęk i obawa przed Bogiem, do którego nie śmiała już się zwrócić. Nasunęła chustkę na czoło i poszła posępna, ponura, unosząc w duszy obraz tych oczu strasznych, których nie było komu zamknąć.

VII.

Minęła jesień i święta Bożego Narodzenia, rozpoczął się karnawał, jak na ironią długi tego roku, w którym prawie nikt nie miał ochoty do zabawy.

W Warszawie tu i owdzie, biorąc za hasło: niepowodzenia Rosyi to nasz tryumf! wyprawiano bale i wieczory prywatne, pomimo klęsk ekonomicznych, zapowiedzi strejków i głuchego wrzenia szerokich warstw.

22 stycznia potężny dreszcz przebiegł Europę, dreszcz ten szedł od stóp carskiego tronu z placu przed pałacem Zimowym, obficie zlanego krwią robotników, co pod osłoną obrazów świętych z wielką miłością poszli do monarchy skarżyć się na ciężką dolę jak syn do ojca. Szukali drogi do serca satrapy, a szeregi kul karabinowych w odpowiedzi poszukały również do serc ich drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) Czemu płaczesz prześliczna? Zabili ci męża, czy kochanka? Będzie drugi. Szkoda ślicznych oczu, radbym je ucałować dziś jeszcze. Poczekaj na mnie po mszy w karczmie u Frista, przyjdę, to pokocham.

[2]) Rozkosz jaka śliczna.

Dwudziestoośmioletnie wygnanie
czyli
ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.
Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

11)

(Ciąg dalszy.)

— Jeżeli — mówiłam — pan pułkownik kazałeś aresztować mego pana, to niech go każe uwolnić, bo moja pani do jutra nie dożyje.

— Co to jest? — krzyknął pułkownik — ja nic nie wiem, tłomacz się jaśniej.

— Tu opowiedziałam mu wszystko, jak pan od kilku dni będąc nadzwyczajnie cierpiący, starałeś się nie pokazywać tego przed panią, jak od paru dni, a szczególnie w dniu dzisiejszym zakupywałeś różne produkta do życia, i zaopatrzywszy niemi spiżarnię, a wszystko tajemnie przed panią, byłeś na twarzy zmięszany, i jak powróciwszy z miasta powiedziałeś, że na wezwanie przez żołnierza idziesz do pułkownika, i od tej pory nie wracasz. Wszystko to powiedziałam z najdrobniejszemi szczegółami, prosząc go, aby przez litość dla pani, kazał pana uwolnić z pod aresztu, dodając, że panią zostawiłam w najokropniejszym stanie.

Pułkownik tłumacząc się, klął duszę i ciało, świadczył się żoną że o niczem nie wie, ona zaś z swojej strony robiła uwagi, że się pan może gdziekolwiek u znajomych zabawił, i radziła mi, abym domy te zwiedziła.

— O! nie pani! — odpowiedziałam — ma się rozumieć, że pójdę szukać go wszędzie, lecz to jest słaba nadzieja, albowiem byłam ja już w tych domach, i nigdzie go nie znalazłam; a pan mój od chwili, jak się z panią ożenił, nie było jeszcze wypadku, aby nie nocował w domu, a jeżeli się trafiło, że się gdzieś u znajomych zabawił, to zawsze o dziewiątej godzinie wieczór, był już przy pani.

Różne jeszcze robiliśmy uwagi i domysły, w których pułkownik szczególną okazywał niespokojność, zawsze jednak twierdził, że to jest niepodobieństwem, aby pan mógł gdzieś zaginąć.

Ztamtąd przyszedłszy idę tu prosto, bo wprzód obejrzałam wszystkie domy przez państwa mi wskazane, wszędzie gdzie przyszłam, stukałam mocno, ażeby stukanie to, nietylko sługi ale i panów obudzić mogło, i gdzie przyszłam, płakałam, dowiedziawszy się, że pana nie ma, i do drugiego udałam się domu. Aptekarz zresztą, którego w okropnym ambarasie znalazłam, albowiem jakaś tam retorta pęknąwszy twarz mu zeszpeciła, a on, jak państwu wiadomo, ma się wkrótce żenić. Aptekarz tedy jak powiadam, chociaż z obwiniętą twarzą, mówił mi jednak, że się widział z panem z wieczora, i że istotnie wielką zmianę, tak w słowach jakoteż i w twarzy pańskiej zauważał. Profesor zaś, dziwiąc się nadzwyczajnie, że pana dotąd nie ma w domu, powiedział mi, że się widział z panem na ulicy o godzinie 10 wieczór, i że pana znalazł w niezwykłem zamyśleniu. Słowem, zdaje mi się — dodała Magdusia — że wszystko jest tak dobrze urządzone, że nic już nie pozostaje do życzenia.

— Oh! jeszcze wiele zostaje! — pomyślałem, i obracając swe słowa do Magdusi — pamiętaj! — zawołałem — od tej chwili drzwi od sieni mają być dniem i nocą ciągle zamknięte. Mieszkańcy miasta dziwić się temu nie powinni, bo nieraz i przy mnie, gdym z domu wychodził, tak bywało, tem więcej przeto i wy obie zamykać się powinnyście, że i tutejsze kobiety, w niebytności swych mężów, wszystkie tak robią. Lewińskiego pod żadnym względem do tego pokoju nie wpuszczaj, chyba, że go pani zawołać każe. Drzwi te pokojowe mają być zawsze na haczyk zaczepione. Przybyły gość tem bardziej się nie zadziwi, że prawie od pół roku , jest do tego przyzwyczajony.

— Ty zaś w rozmowach swoich z nimi lub z ich sługami, nieznacznie dasz im do zrozumienia, że pani twoja słaba i cierpiąca, w negliżu często jest być zmuszoną, z tego powodu skarżąc się niby, wyrzekaj, że ciągle jak w klasztorze lub w fortecy, w zamknięciu żyć musicie. Pamiętaj że o wszystkiem i bądź roztropną! Tymczasem zaś prześpij się trochę, gdyż najdalej za parę godzin, nowa tu scena odbyć się powinna.

W pokoju naszym sypialnym, oprócz podwójnego łóżka, kotarą zasłoniętego, kilku krzeseł, sofy i stolika, była jeszcze niewielka szafka. W wierzchniej połowie tej szafki, były podwójne drzwiczki, ale nie szklane; za temi drzwiczkami, były dwie półki, które wyjąłem, i przybiwszy wewnątrz żelazny haczyk, to próżne miejsce na ukrywanie się moje przygotowałem.

Szafeczka ta, która ważną rolę grać będzie w moich wypadkach, dla tego tak drobnostkowo przezemnie opisaną została, szafeczka ta mówię, mająca pięć ćwierci łokci wysokości do tej połowy, od której szklane drzwi się zaczynały i trzy ćwiercie szerokości, tak była mała i wązka, że zaledwie siedzącego w niej człowieka, pomieścić mogła. Ztąd zdawała się tak niewielką, że na pierwszy rzut oka, usuwała wszelkie podejrzenie, aby tam mógł się kto ukryć, w wierzchniej zaś części tyle razy wspomnionej szafeczki, widać było przez szkło, naczynia fajansowe.

Okien w tym pokoju było cztery, z których dwa wychodziły na ulicę, a dwa na podwórze. Z którejkolwiek więc bądź strony kto przechodził, lub przejeżdżał, mógł być zawsze z pokoju tego widziany. Okna te oprócz ram podwójnych, były jeszcze w taki sposób zasłonięte kwiatami, że patrzącemu w dzień z ulicy, nie można było widzieć. co się dzieje w pokoju; przy świecy zaś, oprócz zamykających się szczelnie okiennic, były jeszcze firanki tak opuszczone, że najciekawsze z ulicy oko, nic dojrzeć nie było w stanie.

Po odejściu Magdusi, ja z moją żoną naradzaliśmy się nad środkami udawania rozpaczy, tyle w położeniu jej potrzebnej. O liście pisanym przezemnie do atamana, ona wiedzieć nibyto nie powinna, a zatem w całej tej mającej się odegrać roli, jej nie należało na chwilę przypuszczać myśli, że ja mogłem dopuścić się samobójstwa, a wnosić, że mię aresztowano, i domagać się od władzy mojego uwolnienia; gdy tymczasem zwierzchność, widząc ile ją kosztuje sama myśl o mojem aresztowaniu, nie powinna jej o tem, że ja nie żyję, objawić.

Tak rozumując, należało zapobiedz nieporozumieniu, niechcąc przeto długiem maskowaniem się, męczyć Albiny, napisałem do niej drugi list po polsku, w którym zawiadomiłem ją w krótkich wyrazach o tem, com pisał do atamana po francusku. List ten był położony w szufladzie od stolika, miał być niby przypadkiem zrana przez Maryę znaleziony, i Albinie przy szukających mię urzędnikach oddany.

Plan ten zdawał się być łatwym do wykonania, ale odegrać rolę tę mojej żonie, a odegrać z całą siłą i sztuką rzeczywistej rozpaczy wobec urzędników, trzeba było mieć dar porządnie utalentowanej w rolach tragicznych aktorki, a każdy przyzna, że od tej roli, zależeć miało ich moralne o mojem rzeczywistem samobójstwie przekonanie, a zatem i cała przyszłość.

Takiemi zajęci myślami, śmieliśmy się i żartowali wspólnie, a jako niedoświadczonym nam się zdawało, że to wszystko da się łatwo urządzić, lecz w miarę tego jak na ulicy coraz bardziej rozwidniać się zaczęło, ruch się powiększał i co chwila przybycia mię poszukujących oczekiwać należało, nam już było nie do śmiechu i nie do żartów, bo tylko com zdążył zbudzić Magdusię i w swoją schować się szafkę, gdy przybycie atamana Każewnikowa, dowódzcy batalionu pułkownika Aniczkowa, policmajstra podpułkownika Łoginowa, i kozackiego majora Matwiejewa, nowe tu sceny zrządziły.

Albina już nie udaniem, ale rzeczywiście przybyciem tylu osób przestraszona, wyobraziła sobie, że do przerewidowania domu niezawodnie przystąpią, i pełna tych myśli, jak już powiedziałem, nie udawała, ale prawdziwie była cierpiącą. Z załamanemi od rozpaczy rękoma, z rozpuszczonemi włosami, blada, niewyspana i cała we łzach, chodząc po pokoju, tak się ich oczom przedstawiła.

Czterej przybyli, spostrzegłszy ją w takim stanie, widocznie się zmięszali, albowiem jej cierpienia, rozpacz, boleść po całej twarzy, i opuchłe od płaczu oczy, kamienne serca poruszyć by mogły. Na twarzach przychodniów malowały się widoczny udział i dobra wiara, a nie śmiejąc przerywać sprawiedliwego jej żalu, stali oni wszyscy prawie blisko minutę w milczeniu.

Nareszcie ataman, wystąpiwszy naprzód, podszedł do Albiny, i z największą grzecznością pokłoniwszy się jej, nieśmiałym i przerywanym zapytał głosem:

— Gdzie jest mąż pani?

— O Boże! cóż to ja słyszę! — zawołała zapytana — czyż nie do mnie należało dać panom podobne zapytanie?

o! przez Boga żywego, moi panowie, nie męczcie mię dłużej tą niepewnością!... Jeżeli macie co miłego na ziemi i niebie, oddajcie mi męża!... lub powiedźcie co się z nim stało?... O! jadąc do niego, czyż ja pomyślałam, że połączenie się nasze tyle męczarni nas oboje kosztować będzie?... i cóż on złego mógł komu zrobić?... i za co żeście go aresztowali!... może czapki nie zdjął przed oficerem?... wielka zbrodnia!... bo innej, on się nie mógł dopuścić, nie mniej przeto oficer będzie oficerem, a on niemniej jest godzien litości, że go los tak nisko postawił!... Oj! gdybyście panowie zajrzeli w to nieszczęśliwe serce, i zobaczyli, co się w niem dzieje, wrócilibyście męża najnieszczęśliwszej żonie! która dla niego opuściła wszystko, a wy za lada bagatelę czepiacie się do niego i prześladujecie go, a zapominacie, że mocnemu nad słabym urągać się nie jest wolno! i że...

Wejście Maryi przerwało słowa Albiny. Goście rozstąpili się, i dali do niej wolny przystęp. Marya zdawała się nadzwyczajnie być zmięszaną. Przywitawszy się z Albiną i pokłoniwszy się obecnym, udała zadziwienie, jakie przytomność ich o tak rannej porze na nią zrządziła, a jako najbliższa sąsiadka, nie mogła udawać, że nie wie, o co idzie, bo rzeczywiście już całe miasto o tem, żem się utopił, wiedziało.

Nie mogąc czy nie chcąc rozmawiać z Albiną, Marya obróciła się do Atamana, i zapytała go cicho:

— A co, nie ma?...

— Nie ma — odpowiedział zapytany, co gdy Albina usłyszała, krzyknęła:

— Jakto nie ma?! więc panowie nie kazaliście go aresztować?... O! ja nieszczęśliwa, lękam się dopuścić jednej myśli, lecz jeżeli tak jest, to ciężki Bogu za jego duszę zdacie rachunek!

To mówiąc, zanosiła się od płaczu. Ataman i inni zaczęli ją uspokajać, obiecując, że wszelkiego dołożą starania, i mię zdrowego i całego jej oddadzą.

Wśród płaczu i ogólnej rozmowy, Marya odeszła na stronę, i znalazła sposobność wyjęcia ze stolika mojego listu, któremu bacznie się przyglądała.

W tej chwili słyszeć się dało nadzwyczajne skrobanie pazurami we drzwi, zmięszane z nieprzyjemnym piskiem. Major Matwiejew, najbliżej drzwi stojący, otworzył je, i mój wielki, kasztanowaty Bekas wpadł do pokoju, i spostrzegłszy kilka obcych osób, spojrzał na swoją panią, a zobaczywszy łzy w jej oczach, szczeknął na przytomnych kilka razy, i szukając mię po wszystkich kątach, podbiegł do szafki, obwąchał ją, i drapiąc okropnie pazurami w drzwiczki niemiłosiernie wyć i skowyczeć zaczął.

Jednocześnie z szukającym mię wyżłem, Marya dobywszy jak powiedziałem list ze stolika, zaczęła mu się przyglądać, co gdy spostrzegła Albina, z rąk jej wyrwała, i czytając zobaczyła drapiącego się do mojej kryjówki wyżła, a przestraszona, aby to zdarzenie nie naprowadziło na ślad przytomnych, wypuściła list, i już nie udanie, ale prawdziwie zemdlona upadła na podłogę.

Przytomni rzucili się na jej ratunek. Marya z Magdusią płacząc trzeźwiły i podejmowały Albinę. Dowódzca batalionu schwycił Bekasa za mosiężną obrożę, i uwalniając obecnych od nieznośnego wycia, za drzwi wyrzucił; ataman zaś podjął list z podłogi i włożył go do kieszeni.

Gdy żonę moją przyprowadzono do przytomności, urzędnicy, zostawiszy ją staraniom Maryi i służącej, pokłonili się i wyszli z pokoju.

I tak początek tego dramatu odbył się szczęśliwiej, aniżeli oczekiwać było można; przytomna bowiem tu władza miejscowa, wychodząc z tego domu, była prawie moralnie przekonana, że żona moja w tem co ja robiłem, najmniejszego nie mogła mieć udziału; szukanie zaś mnie w nocy przez Magdusię, upewniło ją w tym względzie, a list mój przez Albinę wypuszczony a przez atamana podjęty i na rosyjski język przetłomaczony, dał jej to niewątpliwe przekonanie, że Albina czytając list mój wspomniony, z niego tylko o mojej śmierci się dowiedziała i zemdlała; gdy tymczasem jak wiadomo, ona zemdlała z bojaźni, aby mię wyżeł w szafce nie odkrył.

Po wyjściu urzędników, nie spodziewaliśmy się prędkiej wizyty, drzwi więc od sieni założono i mnie znać dano, abym wyszedł z ukrycia. Wyszedłem z największem zadowoleniem. Postawa bowiem moja w tej szafie, podobną której, przed urodzeniem mieć mogłem, była tak męcząca, że za nic w świecie drugi raz bym jej nie przyjął. Prędkość mojego charakteru i niedoświadczenie, nie pozwoliły mi kryjówki tej wprzód dobrze wypróbować. Kiedym ją przygotował, posiedziałem w niej minutę na próbę, i zdawało mi się, że jest dosyć wygodna, lecz gdy rzeczywiście przyszło mi w nią schować się i siedzieć blisko godzinę, tak mi wszystkie członki zdrętwiały, zcierpły i zbolały, iż daję wam słowo, że gdyby nieszczęściem scena ta pół godziny jeszcze przedłużyć się miała, nie ręczę za to, czy unikając widocznej śmierci z zaduszenia, nie byłbym zmuszony wyjść dobrowolnie.

— O! nie, moja kochana żono, jak ciebie kocham, ja tam więcej nie pójdę! — zawołałem, rozcierając krwią nabiegłe i zbolałe członki.

Jakkolwiek nam wszystkim nie było powodu do śmiechu, pokazanie się jednak moje, musiało być nadzwyczajnie komiczne, kiedy Albina, Marya i Magdusia patrząc na mnie, do takiego stopnia śmiać się zaczęły, że i ja widząc je śmiejące się, sam od śmiechu wstrzymać się nie mogłem.

Wyobraźcie sobie figurkę z tektury wyrzniętą, mającą wszystkie członki nitkami powiązane, tę figurkę chłopczyk trzymając lewą ręką za głowę, i przyświstując, prawą tak za sznurek w dół pociąga, że ta wszystkiemi członkami po powietrzu wyrzuca; tak podobnie i ja, nie mogąc ustać ani jednej sekundy na jednem miejscu, rzucałem się na wszystkie strony, skakałem i trząsłem w powietrzu rękami i nogami, rozcierając i prostując członki. Aż nareszcie po przejściu tego niewczesnego śmiechu, Albina zobaczywszy twarz moją zczerniałą, przelękła się okropnie, i wieszając mi się na szyję, zawołała:

— O mój mężu! gdzież ja ciebie nieszczęśliwa ukryję?...

I tylko co słowa te ukończyła, gdy zatrzymany przed oknami powóz o nowych odwiedzinach nas zawiadomił. Magdusia pobiegła drzwi otwierać, a ja rzuciłem się pod łóżko; Albina zaś z Maryą usiadłszy na niem, przygotowały się na nowe cierpienia i męki.

Przybyłe panie, były: żona dowódzcy batalionu, małżonka policmajstra i pani majorowa kozacka (ataman był kawalerem). Po zwykłych przywitaniach, ubolewaniach i pocieszających słowach, wyjechały, a po ich wyjeździe przyjechały znów inne, i tak zmieniały się przez cały dzień, do późnej nocy. W podobnych bowiem wypadkach, publiczność ciśnie się i tłoczy, (jedni dla pokazania mniemanego udziału, drudzy dla zaspokojenia prostej ciekawości) odstępuje od form socyalnych, i dom, w którym się zdarzył wypadek, staje się niejako jej własnością, do którego znajomi lub nieznajomi nietylko wchodzić mają prawo, ale uważają za święty obowiązek.

Ztąd to moja biedna Albina, będąc przekonaną, że od pierwszego na publiczność wrażenia, cała nasza przyszłość zależy, siliła się i naprawdę zachorowała. Ataman, odjeżdżając zrana, przysłał doktora Adorackiego, który zapisawszy jej lekarstwo, zalecił spokojność, częste wizyty zapowiadając.

Ku wieczorowi, władza miejscowa, pod pozorem bezpieczeństwa i usługi dla mojej żony, przysłała jej sołdata Moskala — rzeczywiście zaś był to szpieg domowy; — my oboje nie bardzośmy się tem zatrwożyli, owszem, cieszyliśmy się niejako, bo o ile on ma wiary u tych, którzy go tu posłali, o tyle prawie byliśmy pewni, że do rewizyi domu nie przyjdzie. Albina kazawszy tak jego jak i Lewińskiego do pokoju zawołać, zaleciła im słabym głosem, ażeby całą noc nie śpiąc czuwali, i za mniejszym ruchem lub psa szczeknięciem, natychmiast na podwórze wychodzili.

— Bardzo być może — zwracając mowę do Lewińskiego, mówiła — że z moim mężem coś nadzwyczajnego stać się musiało, czego ja ani zrozumieć ani wytłómaczyć sobie nie mogę, i że on, nie spełniwszy jeszcze swego zamiaru, spostrzeże się, i nie mogąc w dzień, zechce w nocy skomunikować się ze mną; w takim razie, kto z was pierwszy znajdzie go, i sekretnie do mnie przyprowadzi, sowitą otrzyma nagrodę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

26) (Ciąg dalszy.)

— Wziąłeś pan ją do swego domu?

— Nie, oddałem ją na wychowanie do klasztoru w Saint-Maur-les-Fosse. Uważałem, że tam wychowają lepiej dziedziczkę takiego majątku!

— Była tam długo?

— Miała zostać aż do dnia ślubu, ale niespodziewana okoliczność zmusiła mnie do odebrania jej rychlej z klasztoru.

—Jaka to była okoliczność i kiedy poznała panna Garrel hrabiego Noirville?

— Poznała go u mnie, dawno już, raz, podczas wakacyi. Nora podobała mu się.

— Więc co pan sobie wyrzucasz?

— Serce Nory nie było już wolnem, gdy wychodziła za mąż!

—Aha, zbliżamy się teraz do najważniejszego punktu. Mów pan dalej!

— Nora kochała doktora Darby i on przyszedł do mnie, prosząc o jej rękę.

— Gdzie oni się poznali?

— Nie wiem — to jest — na przechadzkach — poznali się, a potem pisywali do siebie......

— Wiesz pan o tem z pewnością?

— Sam doktor Darby mówił mi to!

— Muszę wynaleść te listy! Jeżeli ich panna Garrel nie zniszczyła! I cóż dalej?

— Odmówiłem mu naturalnie ręki Nory i dla tego odebrałem ją z klasztoru, nie chcąc, aby się nadal widywali. Miłość ich nie uważałem za tak wielką, aby nie widując się, nie mieli o sobie zapomnieć.

— Hrabia wiedział o tem?

— Owszem, mówiłem mu, lecz i on lekceważył sobie tę rzecz.

— Wymieniłeś pan nazwisko doktora?

— Tak!

— I cóż dalej się stało?

— Pewnego dnia poszła Nora do jego mieszkania, dokąd sam po nią pojechałem. Wtenczas powinienem był poznać, że małżeństwo jej z Gastonem jest niemożliwem. Nora rozpaczała, doktor zaś był spokojny i prosił jej, aby mi była posłuszną......

— Wybornie! Ułożyli sobie, że usuną hrabiego i on namawiał ją do tego małżeństwa, aby ukryć swoje zamiary. Jest to jeden z najprzebieglejszych łotrów, jakich znam!

— Może być! Masz pan słuszność w wszystkiem, co się tyczy doktora, bo widzę teraz, że on miał swój plan [illegible]ony, aby dojść do celu. Ale przysięgam panu, że Nora [illegible] domyślała się niczego i że nigdy nie byłaby się zgodziła na taką niegodziwość!

— Zkąd pan to wiedzieć możesz?

— Znam ją zbyt dobrze, ona jest bardzo łagodna i jaknajlepsze ma serce.

— Kobiety zawsze odgrywają komedye i wywodzą nas w pole.

— Ale nie Nora! Przysięgam panu.

Adwokat był tak nieszczęśliwy i przygnębiony, że Anatol uczuł litość dla niego. W niewinność jednak Nory uwierzyć nie chciał.

— Sądzę, że pan nie masz mi już nic więcej do powiedzenia, — rzekł.

— Może zapomniałem jeszcze czego, ale chwilowo czuję zawrot w głowie i nic już nie wiem, co mówię, — odpowiedział pan Nivel.

— Widzę, że pan potrzebujesz spoczynku. Tylko jeszcze jedno pytanie: czy panna Garrel poznała pannę Beaumont dopiero w klasztorze?

— Tak!

— To jej najlepsza przyjaciółka?

— Tak!

— Więc panna Beaumont wiedziała o jej miłości dla tego doktora?

— Zapewne!

— I może jej pomagała w widywaniu się z nim?

— Może!

— Dziękuję panu!

Pan Nivel wstał, drżącą ręką podpisał swe zeznania, i zwrócił się ku drzwiom. Nagle jednak stanął i rzekł:

— Nie mógłbym widzieć Nory? Jestem przekonany, że ona życzy sobie widzieć mnie......

— Żałuję bardzo, — odpowiedział chłodno Anatol, — ale chwilowo pozwolić na to nie mogę. Przed rozpoczęciem procesu nie wolno jej widzieć nikogo.

Pan Nivel wyszedł, jeszcze więcej przygnębiony, Anatol zaś patrzał za nim i uśmiechał się szyderczo.

— On wierzy w jej niewinność, — myślał. — Jest to uczciwy człowiek, ale poza swemi aktami nie widzi już nic więcej!

ROZDZIAŁ 19.

Po odejściu pana Nivela kazał Anatol wezwać ogrodowego, który dekorował pałac. Chodziło o to, czy w dzień ślubu on miał klucz przy sobie, czy też może oddał go komu innemu. Ogrodowy zeznał śmiało, że klucz leżał całą noc w jego mieszkaniu, w szufladzie od komody.

— Gdzie wisiał zwykle? — pytał Anatol.

— W kuchni.

— Więc każdy mógł go łatwo wziąść tam zząd.

— Naturalnie.

— Wy braliście go także, nie mówiąc o tem nikomu?

— Często nawet, bo oprócz mnie nikt go inny nie potrzebował. Przed tygodniem dałem go jednemu z służących, aby go powiesił na swojem miejscu......

— Komu daliście go?

— Groomowi hrabiego! — Nie wiem jak się nazywa.

Po ogrodowym przyszła kolej na stangreta, masztelarza, kucharza i resztę służby, ale zeznania ich nie dały żadnego wyjaśnienia. Anatol dowiedział się tylko tyle, że hrabia oprowadził po obiedzie żonę po całym pałacu i po ogrodzie, więcej nikt powiedzieć nie umiał. Było to o tyle ważnem, że przy zwiedzaniu ogrodu mogła Nora odkryć drzwi w murze, przez które potem wpuściła Lucyana.

Garderobiana zeznała, że młoda pani hrabina była smutną i płakała i że odesłała ją prędko, chcąc być samą.

— Byłaś przytem, gdy hrabina zwiedzała pałac? — zapytał Anatol.

— Tak! Pan hrabia pokazywał jej wszystkie pokoje i objaśniał ich przeznaczenie.

— Więc pani hrabina znała położenie swoich i męża pokoi?

— Zapewne!

— Wiedziała, że dzielił je tylko ten salonik?

— Naturalnie, przecież sama przechodziła tędy.

Wszystko, co świadkowie zeznawali, wypadało na niekorzyść Nory, a chociaż zeznania te były zawsze do siebie podobne, to Anatol umiał jednak w każdem znaleść coś, co podług jego zdania było dowodem jej winy.

O trzeciej udał się do dyrektora policyi prosząc, aby zechciał iść z nim do szpitala św. Antoniego.

— Chcesz pan zobaczyć tego nieszczęśliwego chłopca? — zapytał dyrektor.

— Tak, uważam to za konieczne. Muszę stwierdzić, czy rany jego są podobne do ran hrabiego. Byłoby to bardzo dziwnem!

Godzinę później stali obydwaj urzędnicy przy łóżku Henryka Parces, który ciągle jeszcze był nieprzytomny. Lekarze dokładali wszelkich starań, aby uratować to młode życie, ale rany były tak okropne i spowodowały taką utratę krwi, że jak dotąd wątpiono jeszcze o jego ocaleniu.

Stwierdzono jednak natychmiast, że rany chłopca i hrabiego jedną i tą samą bronią były zadane i lekarz sądowy oświadczył, że nie ma najmniejszej pod tym względem wątpliwości.

— Czy ten chłopiec nie przemówił jeszcze ani słowa? — zapytał Anatol lekarzy.

— Nie i jeżeli żyć będzie, nie wymówi wogóle ani słowa, — odrzekł jeden z nich.

— Czemu?

— Nóż przeciął główne ścięgna w szyi! Wskutek tego taśmy głosu są sparaliżowane.

— Byłoby to bardzo źle, bo potrzebujemy jego zeznania! Ale on może pisać umie, jeżeli więc wyzdrowieje......

— O tem dziś jeszcze nic mówić nie można. Ale nadzieja jest!

— Myślisz pan, że jutro albo pojutrze mógłby poznać kogo?

— Owszem, jeżeli gorączka minie...... Tych,, którzy go pielęgnują poznał też już, ale teraz ciężką ma znowu gorączkę!

— Przyjdę tu znowu w tych dniach! Zobaczymy wtedy, jak będzie!

ROZDZIAŁ 20.

Gdy Anatol wrócił do swego biura, oddano mu wszystkie listy i papiery Nory, znalezione w pałacu Noirville. Nie było ich wiele, bo Nora mało miała sposobności pisania i odbierania listów, wszystkie mieściły się w małej szkatułce z drzewa różanego. Anatol zaczął je czytać, lecz nie dowiedział się z nich niczego. Myślał, że znajdzie jaki list Lucyana, przerzucał każdą karteczkę i nareszcie znalazł coś, co w jego przekonaniu było dowodem winy oskarżonej.

Był to list Helenki.

Pisała ona wówczas, gdy Nora opuszczała klasztor, że Lucyan jest w rozpaczy i radziła, aby Nora oparła się małżeństwu z Gastonem. — Zdaje mi się, — stało tam, — że doktor Darby jest gwałtownego usposobienia i że w rozpaczy gotów popełnić jaki czyn szalony!

Anatol niezmiernie był uradowany.

— Otóż ta dziewczyna, — pomyślał, poznała jego charakter!

Na drugi dzień wezwano Helenkę na sąd. Anatol był dla niej wprawdzie grzeczny, lecz tylko o tyle, o ile było koniecznem — miał on do niej uprzedzenie jakieś i nie ukrywał się z tem wcale. Nie wiele było potrzeba, a byłby ją też podejrzywał o wspólnictwo w tej zbrodni, ale niestety, nie miał na to najmniejszych nawet dowodów.

Helenka ochłonąwszy nieco z przerażenia, uczuła wstręt prawdziwy dla człowieka, który kazał aresztować Norę, i traktowała go z jawnem lekceważeniem i niechęcią.

Oboje spojrzeli na siebie i zrozumieli się. Nieprzyjaźń i walka zawzięta aż do ostateczności!

— Przedewszystkiem proszę pani — zaczął Anatol szorstko — abyś odpowiadała tylko na moje pytania, i mówiła prawdę. Tem jedynie możesz się przyczynić do wyśledzenia winnych.

Ja zawsze mówię prawdę — odrzekła Helenka wyniośle.

— Pani byłaś najszczerszą przyjaciółką panny Garrel i wywierałaś na nią wielki wpływ, nieprawdaż?

— Może, lecz to powinno panu być zupełnie obojętne!

— Znalaś pani doktora Darby?

— Tak!

— I wiedziałaś o miłości jego dla panny Garrel?

Helenkę zaniepokoiło to pytanie i nie wiedziała, co na nie odpowiedzieć.

— Czemu pani milczy? — spytał Anatol szyderczo.

— Myślę — odrzekła również szyderczo — że chodzi tu o Norę i o śmierć jej męża, nie rozumiem więc po co pan pytasz o doktora Darby!

— Byłaś pani pośredniczką pomiędzy nim i panną Garrel?

Helenka niepokoiła się coraz to więcej. Zkąd ten sędzia wiedział o wszystkiem, kto mu to mógł powiedzieć? Bo nie wiedziała nic o zabraniu listów Nory.

— Bądź pani zupełnie szczerą — nalegał Anatol.

— Nie mam nic do ukrywania — brzmiała dumna odpowiedź dziewczęcia.

— Gdzie pani poznałaś doktora Darby?

— W Saint-Mour-les-Fosses.

— Był on lekarzem w klasztorze?

— Nie!

— Więc gdzież go pani mogłaś widywać.

— Na przechadzkach.

— Ale panna Garrel chodziła także z panią?

— Tak!

— Więc na przechadzkach poznała doktora i pokochała go. Bardzo romantycznie. Pisałaś pani o tem do niej, list ten jest najlepszym tego dowodem...

I pokazał Helence jej własny list pisany do Nory.

— Jaka ona nieostrożna — pomyślała Helenka. — Radziłam jej przecież, aby spaliła wszystkie moje listy...

Widząc jednak, że zatajanie prawdy rzeczywiście sprawę Nory pogorszyć tylko może, opowiedziała dokładnie całą historyę, ich poznania się z Lucyanem i dodała:

— Muszę jeszcze nadmienić, że uważam pana Darby za człowieka szlachetnego i uczciwego, inaczej nie byłabym się wcale troszczyła o niego.

— I dla tego namawiałaś pani panną Garrel do oporu — rzekł Anatol ostro.

— Radziłam jej, aby nie szła za mąż bez miłości i nie doprawadzała do rozpaczy człowieka, którego kochała i który ją uwielbiał — odpowiedziała, nie przeczuwając, że słowa te mogą zaszkodzić Norze, którą tak gorąco bronić pragnęła!

— Wiedziałaś pani, że panna Garrel udała się raz do mieszkania doktora Darby?

— Nie.

Anatol umilkł na chwilę, poczem zapytał nagle:

— Pani byłaś najdłużej u niej po ślubie?

— Tak

— Czy ona wiedziała, że doktór znajduje się w pobliżu?

— Nie wiem, ale wątpię.

— Nie zwierzyła się pani z tem?

— Przysięgam panu, że nic mi o tem nie wspomniała! I byłoby to też niemożliwem — widziała go przecież zdaleka tylko w kościele.

— Wiesz pani dlaczego doktór Darby znajdował się około jedenastej w nocy przed pałacem?

— Ah, to takie jasne! Kochał ją bardzo, więc chciał ją zobaczyć raz jeszcze!

— Mianowicie, że razem postanowili usunąć hrabiego!

— Co pan mówisz! — krzyknęła Helenka przerażona.

— Ah, to takie jasne — roześmiał się Anatol szyderczo. — Ręka hrabiny była za słabą, więc on to uczynił!

— Nieprawda — zawołała Helenka oburzona — to wszystko nieprawda! On jest równie niewinnym, jak moja nieszczęśliwa przyjaciółka. On z rozpaczy nie popełnił morderstwa — prędzej odebrałby sam sobie życie! — Jak można ich podejrzywać o tak ohydną zbrodnię!

— Gniew pani nie dowodzi niczego — odrzekł Anatol zimno.

— Nie, ale miłość moja dla Nory i szacunek dla pana Darby dowodzą, że oni są godni tego!

— Pani jesteś jeszcze za młodą, aby znać ludzi i sądzić o ich charakterach. Lecz dajmy temu pokój. Gdy pani spotkałaś doktora po odjeździe panny Garrel z klasztoru, czy mówił co o swoim rywalu?

— Ani słowa! Nie potrzebował też czekać dnia ślubu hrabiego, gdyby go chciał zabić.

I Helenka opowiedziała o niebezpieczeństwie, w jakim Nora się znajdowała, gdy wpadła w rzekę.

Anatol słuchał uważnie jej opowiadania i zapisywał każde słowo.

— Nie rozumiem tej całej sprawy — rzekł nareszcie. — Czy pani jesteś pewną, że panna Garrel jest lunatyczką?

Helenka zarumieniła się i zmięszała niezmiernie.

— Wszyscy wierzyli temu — odrzekła wymijająco — ani pan Nivel ani hrabia Noirville żadnej nie okazali wątpliwości.

Anatol uśmiechnął się, a Helenka zadrżała z przerażenia.

— Czy ja popełniłam jaką nieostrożność — pomyślała — przecież nie powiedziałam nic, co mogłoby skompromitować Norę! Czemu on się uśmiecha z takiem zadowoleniem?

ROZDZIAŁ XXI.

Anatol był rzeczywiście zadowolony. Zdawało mu się, że ma dosyć dowodów winy Nory i Lucyana i winszował sobie sam swego powodzenia.

Nikt nie oskarżał wprost obwinionych, pan Nivel nawet i Helenka bronili ich, o ile się dało, a jednak to, co zeznawali, wypadło na ich niekorzyść. Jednej tylko rzeczy nie umiał Anatol sobie wytłomaczyć, to jest, jakim sposobem dostał się Lucyan do pałacu Noirville. Nie ulegało wątpliwości, że morderca wszedł drzwiami w murze ogrodowym, lecz chodziło o to, czy Nora mu je sama otworzyła, czy też miał klucz do nich podrobiony. Pod tym względem śledztwo nic jeszcze nie wykryło.

Jednym z ostatnich świadków był Robert.

Był on ezmiernie wzburzony i z gwałtownem biciem serca, czekał na wezwanie go przed sędziego. Nie czuł on bynajmniej żalu albo wyrzutów sumienia, ale miał strach, aby się nie zdradził jakiem nierozważnem słowem. Nie był też wcale w świetnym humorze z powodu uwięzienia Nory — psuło mu to znowu wszystkie plany, jakie sobie ułożył i w końcu doszedł do tego przekonania, że najlepiej jednak będzie zwalić całą winę na Norę. Tym sposobem odwróci chociaż uwagę sędziego od siebie i Alfonsa i w najgorszym razie zapewni im okrągły milion. Bo Nora, uznana za winną, nie wyjdzie tak prędko z więzienia i nigdy już o powtórnem małżeństwie myśleć nie będzie mogła.

— Zgładzić ze świata, czy to w więzieniu, czy to na wolności, zawsze ją będzie można — myślał młody potwór.

Nie wiedział tylko jeszcze, kogo sędzia uważa za jej wspólnika, bo uwięzienie Lucyana zachowywano dotąd w głębokiej tajemnicy, ale był pewnym, że chodzi tu o doktora Darby i cieszył się z tego. Jedynym bowiem człowiekiem, którego się lękał, był Lucyan. Nie znał go, a przecież czuł, że miłość jego dla Nory będzie mu zawsze i wszędzie stawała na przeszkodzie do osiągnięcia ohydnego celu.

Postanowił więc zeznawać tak, że sędzia musi uwierzyć rzyć w winę hrabiny i doktora.

Gdy go wezwano do pokoju sędziego, wszedł z skromnie spuszczonemi oczami i z miną chłopaka poczciwego, lecz nie bardzo inteligentnego. Z tem wszystkiem, korzystając z chwili, w której Anatol czytał jakiś dokument, patrzał na niego z natężoną uwagą, jak gdyby się chciał przekonać o zdolnościach umysłowych tego, który go miał badać.

— Nie trudno wywieść go w pole, — pomyślał i uśmiechnąwszy się szyderczo, spuścił znowu oczy i stał przy drzwiach, cichy i pokorny.

Anatol spojrzał teraz na niego i odezwał się szorstko:

— Jak się nazywasz?

— Henryk Parnes.

— Masz jeszcze rodziców lub krewnych?

— Nie, jestem wychowany w domu podrzutków.

— Ile masz lat?

— Kończę rok siedemnasty.

— Służyłeś u hrabiego jako groom?

— Tak!

— Od kiedy?

— Od dwóch tygodni dopiero! Ach, mój biedny pan! Taki był dobry dla mnie!

I otarł oczy, w których doprawdy łez nie było!

— Schowaj płacz na później, — zawołał Anatol ostro. — Czy znałeś hrabinę już dawniej?

— Widywałem ją czasem, gdy jeździłem z moim panem do domu jej opiekuna, na ulicy Navarin.

— Znasz doktora Darby?

Robert zamyślił się na chwilę, potem zapytał ciekawie:

— Kto to jest?

— Ten doktor, który na wołanie pani hrabiny pierwszy przybył do pałacu Noirville.

— Ah, teraz już wiem!

— No i cóż?

— Tego nie mogę powiedzieć. Nie wiedziałem, jak się nazywa.

— Ale widywałeś go już?

— Zdaje mi się!

— Bywał on już dawniej w pałacu Noirville?

— O nie!

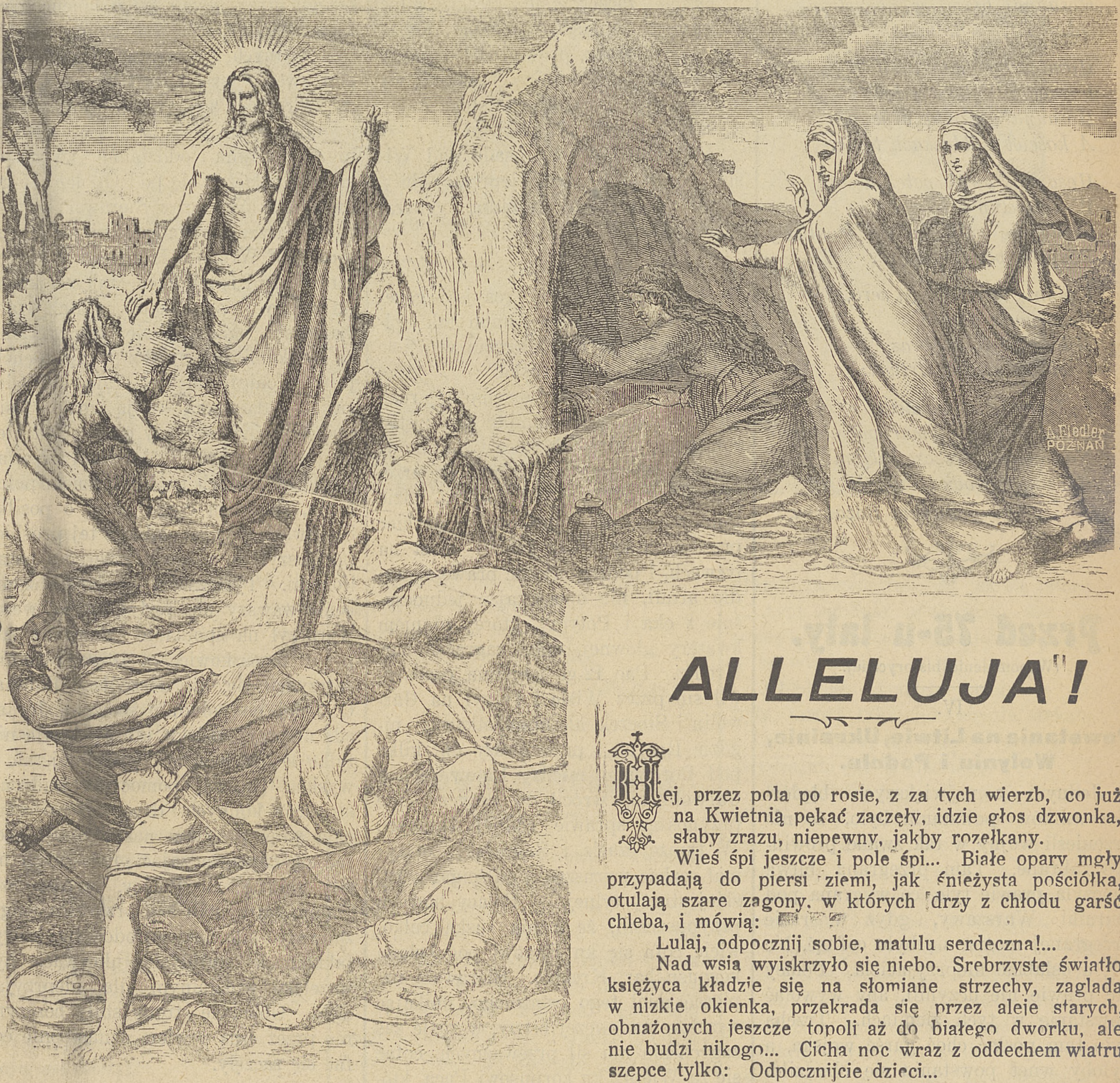
— Więc mów wyraźnie, gdzie go widywałeś?

— Tego właśnie powiedzieć nie mogę — boję się, a zresztą może się też i mylę.

— Mów śmiało! Żądam tego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



ALLELUJA!

Hej, przez pola po rosie, z za tych wierzb, co już na Kwietnią pękać zaczęły, idzie głos dzwonka, słaby zrazu, niepewny, jakby rozełkany.

Wieś śpi jeszcze i pole śpi... Białe opary mgły przypadają do piersi ziemi, jak śnieżysta pościółka, otulają szare zagony, w których drzy z chłodu garść chleba, i mówią:

Lulaj, odpocznij sobie, matulu serdeczna!...

Nad wsią wyiskrzyło się niebo. Srebrzyste światło księżyca kładzie się na słomiane strzechy, zagląda w nizkie okienka, przekrada się przez aleje starych, obnażonych jeszcze topoli aż do białego dworku, ale nie budzi nikogo... Cicha noc wraz z oddechem wiatru szepce tylko: Odpocznijcie dzieci...

A dzwonek tymczasem brzmi coraz głośniej, częściej i donośniej. Buja się, buja na smukłej wieżyczce, a jeśli jego urywane, perliste tony przypomną ci jeszcze łzy, to już chyba łzy, co dech tamują — z zachwytu...

Aż tu na wschodzie zaróżowiło się nieco Umalowała się chmurka barwisto nad czarną smugą lasu, ubrała się w rąbek złotawy, a drzewa zaszumiały. I oto podzieliło się państwo dnia i państwo cichej nocy Z jednej strony mgła przypada coraz niżej, z drugiej — w tryumfie wstaje gorące światło. A środkiem, miedzą, idzie głos dzwonka rozbujany, czysty i jasny. Idzie, uderza w ziemię i mówi: Wstań! Puka w okienka kmiece i mówi: Zbudźcie się! Kołacze do białego dworu i mówi: I wam też nie spać!

Pierwsza obudziła się ziemia, a potem dopiero ludzie; pierwsze odezwały się chórem kwiaty, a potem dopiero serca ludzkie.

Wstał las, odetchnął głęboko i zagrał. Popłynął choral wielki, potężny, niby grzmot organów, bo w głosie dzwonka las usłyszał wieść radosną: „Alleluja!“ Zbudziły się sasanki, wstrząsły modremi główkami, rozbujały swoje dzwonki i dalej wtórzyć: „Alleluja!“ „Alleluja!“ — po całym lesie, po całej ziemi...

Wstali ludzie, spojrzeli sobie w oczy, wyciągnęli ku sobie bratnie dłonie i w jednem słowie zamknęli całą duszę: „Alleluja!“ Zbudziły się serca i zaczęły bić gwałtownie, jakby pierś rozsadzić chciały i nuż wtórzyć: "Alleluja!“ „Alleluja!“ — od człeka do człeka, po całej ziemi...

O tak, „Wesoły nam dzień dziś nastał“, gdy z ust do ust, z serca do serca płynie potężne słowo: „Alleluja!“ Nie ma śmierci — Chrystus śmierć pokonał! Nie ma wieczystej nocy — i Chrystus dzień wskrzesił w wielkim dniu Zmartwychwstania!

Dziś, gdy dojdą do Was słowa nasze, zebrani około białego stołu z symbolicznym Barankiem, godłem Zmartwychwstałego Odkupiciela wszystkich win świata, dzielić się będziecie tą radosną wieścią. I my chcemy obcować z Wami w tej uroczystej chwili. Więc z dłonią w dłoni, z okiem w oku, z sercem bijącem obok Waszego serca, mówimy Wam: Radujmy się Bracia! Chrystus Zmartwychwstał!

Alleluja!...

W dzień Zmartwychwstania.

Hosanna! biją dzwony,
Hosanna! wtórzy cicho echo gór,
Hosanna! brzmi w powietrzu,
Od ziemi, aż do chmur.

Hosanna! ziemia drży
I serce w ludzkiem łonie,
Hosanna! grzmią organy
A kościół w blaskach tonie.

Hosanna, pieśń potężna
W kościelny bije strop,
Serdeczne w niebo ślą modlitwy
Pospołu pan i chłop.

I płynie ta modlitwa serc,
Pokorna a gorąca,
Miłością wielką wraz
I wielką prośbą drżąca:

O, Chryste Zbawicielu!
Przez Twoje Zmartwychwstanie
Nad nami nieszczęśliwymi
Racz się zlitować Panie!

Janina Rożańska.

Przed 75-u laty.

(Wspomnienie historyczne).

IV.

Powstanie na Litwie, Ukrainie, Wołyniu i Podolu.

Jednym z największych błędów kierowników powstania było, że nie przenieśli wojny w tak zwane prowincye zabrane. Tam przegrana bitwa znaczyła prawie tyle, co wygrana pod murami Warszawy, gdyż w razie przegranej można się było cofnąć, bic się, a osłabiać nieprzyjaciela. Polacy nic prawie nie uczynili, aby wywołać powstanie w tych ziemiach. Trzeba było tam posłać choć garść wojska, a byłoby wnet powstanie się obudziło. Niestety! rodacy w prowincyach zabranych zostali własnym siłom pozostawieni.

Najprzód wybuchło powstanie na Żmudzi 25-go marca 1831 roku. Później powstali Litwini, choć car zagroził uczestnikom śmiercią i dóbr utratą. Wnet cała Litwa powstała. Nawet w okolicach Dynaburga Cezary Plater i krewna jego Emilia Platerówna, dzielna i mężna niewiasta, dali hasło powstania.

Wobec tego rząd rosyjski był w wielkiem utrapieniu.

— Straciliśmy już 20 000 ludzi i poniesiemy w tej wojnie zupełną klęskę! — mówili już strapieni generałowie rosyjscy.

Był to bowiem czas największej przewagi oręża polskiego i wojna miałaby dalej pomyślny przebieg, gdyby Skrzynecki nie był zwlekał i wcześniej zajął był Siedlce, jak to uczynił Dybicz, który tem tylko się uratował.

Odtąd zaczęły się klęski, gdyż Skrzynecki zamiast wyzyskać odniesione zwycięstwa, prowadził tylko staranne układy zagranicą, czekając jej interwencyi, a nie chciał słuchać korzystnych rad Prądzyńskiego.

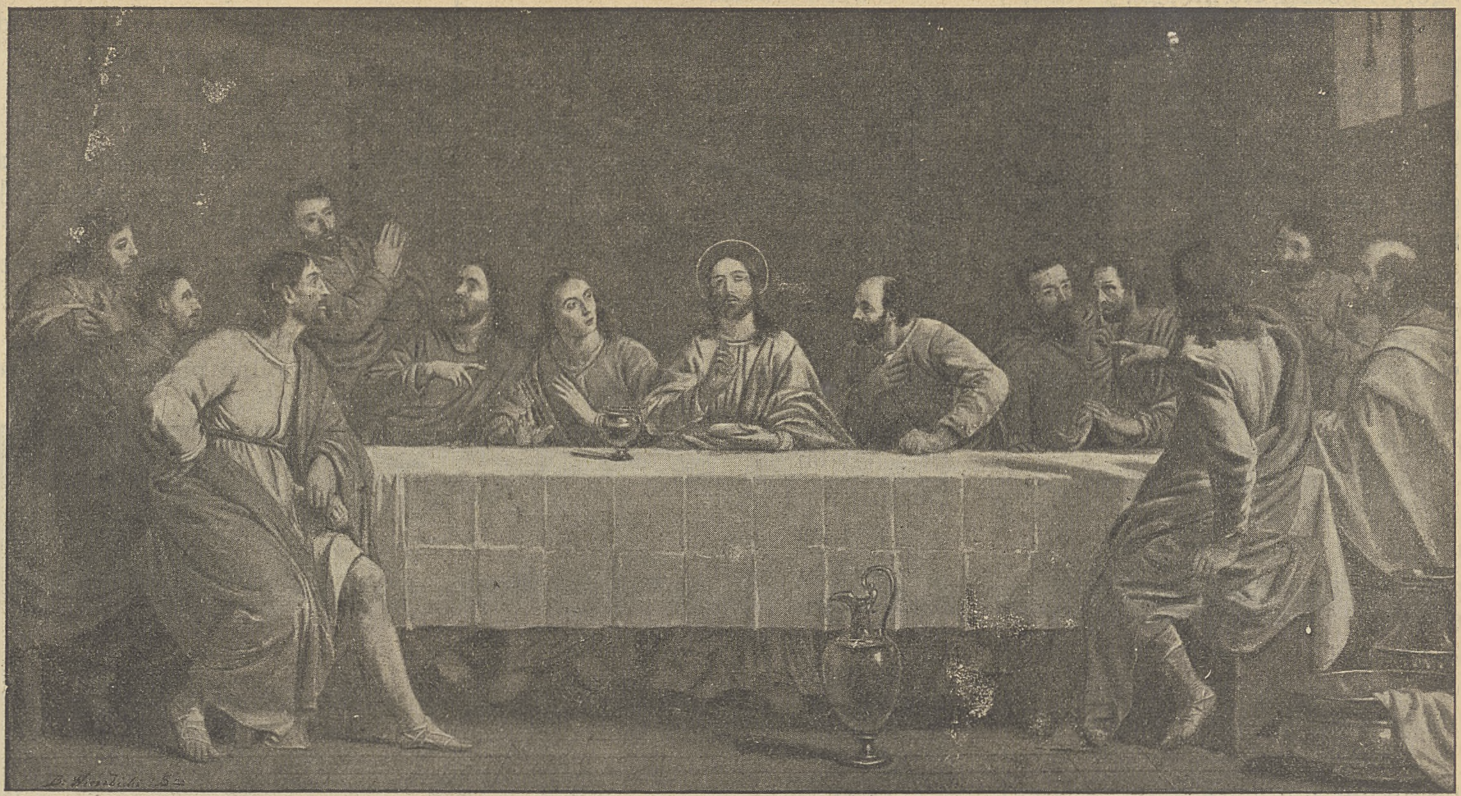
Pod Kazimierzem, osadą nad Wisłą, powyżej ujścia Wieprza, pobity został dnia 13-go kwietnia generał Sierawski.

* * *

A K. Puzyrewskij, rosyjski generał-lejtnant głównego sztabu tak opisuje bitwę pod Kazimierzem w dziele p. t. „Wojna polsko-ruska“:

...Skrzynecki; przedsiębiorąc ruch ku Iganiom, miał zamiar skorzystać również z oddziałów Paca i Sierakowskiego. Pierwszy z nich miał się przeprawić przez Wisłę pod Potyczą, gdzie Polacy usypali doskonały szaniec przedmostowy, oraz rzucili most na łyżwach, i podtrzymywać prawe skrzydło armii, nie spuszczając jednocześnie z oka i Potyczy, której zdaniem kwatery głównej, mógł zagrażać bar. Kreutz. Pac 12-go kwietnia przeprawił się przez Wisłę i ruszył na Garwolin i Stoczek, ale nie spotkawszy nigdzie Rosyan i przestawszy dni kilka pod Borowiem, między Latowiczem a Garwolinem, wrócił do Potyczy, nie przynosząc sprawie żadnej korzyści. W tymże czasie i Sierawski otrzymał rozkaz wyruszenia na ściganie ruskiej straży tylnej, — Polacy bowiem przypuszczali, że armia ruska całkowicie cofa się ku Bugowi pod osłoną korpusu bar. Kreutza. Sierawski napierać miał tego ostatniego, unikając wszakże stanowczej bitwy, w razie zaś zagrożenia mu sił przeważnych, cofać się za Wieprz ku korpusowi Paca, który odpowiednie odebrał rozkazy i winien był działać na jednej z nim wysokości; wobec niemożności złączenia się z Pacem, miał Sierawski zwrócić się ku Zamościowi i szukać połączenia z Dwernickim. Stósownie do tych wskazówek, Sierawski plan działań swoich przesłał Pacowi, poczem przeprawił się przez Wisłę w trzech punktach: przed innymi przeszedł rzekę pod Józefowem w noc na 14 kwietnia pułkownik Młokosiewicz z dwoma batalionami i trzema szwadronami i ruszył w lewo ku Kamieniowi, żeby odeprzeć znajdujące się tam posterunki; Łagowski z jazdą swą i trzema batalionami piechoty również przeprawił się tu z Solca; połączywszy się z sobą, wysłali oni oddział jazdy ku Kazimierzowi dla wyparcia kozaków i ułatwienia przeprawy dwom pozostałym batalionom pod dowództwem Jul. Małachowskiego. Wszystko się to powiodło dzięki temu, że Rosyanie wzdłuż brzegu utrzymywali tylko łańcuch kozacki z kilkoma szwadronami strzelców konnych. Sierawski część statków swoich wysłał do Gołębia w rozporządzenie Paca, resztę zaś zatrzymał dla siebie w Kazimierzu, następnie wszystkim oddziałom wyruszyć kazał i połączyć się pod Opolem 15-go kwietnia. Nazajutrz Sierawski z piechotą i trzema szwadronami jazdy poszedł pod Wronów, Łagowski zaś z resztą jazdy i batalionem Malczewskiego na prawo, przez Chodel ku Bełżycom. Łagowski, uganiając się bezużytecznie za kozakami, przysyłał z początku chełpliwe doniesienia; ale zaledwie Sierawski z kolumną swoją rozłożył się pod Wronowem, kiedy odebrał od niego zawiadomienie o spotkaniu przeważnych sił ruskich i o krytycznem położeniu, skutkiem czego prosi o posiłki Sierawski, czyniąc zadosyć tej prośbie, pospieszył do niego z czterema batalionami. Tymczasem Kreutz, skoncentrowawszy się pod Czerniejewem, wyruszył na spotkanie Sierawskiego przez Trzeszkowice, a 16-go kwietnia zatrzymał się, nie doszedłszy Babina. O 3-ciej po południu ukazała się jazda nieprzyjacielska, która odparła nie tylko kozaków straży przedniej, ale i wysłane im na pomoc 4 szwadrony strzelców konnych i dragonów; poczem cała straż przednia nasza zaczęła cofać się naprowadzając przeciwnika na siły główne; ale Polacy, przeszedłszy Babin, zatrzymali się, przyczem mogli zauważyć siłę naszego oddziału, który, jakkolwiek starał się ukrywać, był wszelako widzialnym dla nieprzyjaciela. Obiedwie strony stały bezczynnie przez czas pewien, a następnie cofać się zaczęły.

Kreutz wtedy wysłał straż przednią Tołstoja dla ścigania nieprzyjaciela Polacy zajęli Radawiec i stąd pod ogniem ruskiej artyleryi rozwijać się zaczęli. Kiedy zauważono nieład w ich szeregach, wtedy hr. Tołstoj z Wirtembergskim pułkiem strzelców konnych, z dywizyonem Kazańskiego pułku dragonów i kozakami Choperskiego rzucił się na lewe ich skrzydło, a jednocześnie batalion piechoty z czterema działami wieś atakował, ale został odparty, poczem, wzmocniony przez dwa nowe bataliony pod dowództwem walecznego Tołstoja, poszedł na bagnety. Pomimo całego oporu Polacy zmuszeni byli do opuszczenia wsi i cofnięcia się do Babina, ścigani przez Rosyan. Sierawski za przybyciem do oddziału Łagowskiego znalazł bata-



Filip Champagne. **Wieczerza Pańska.**

lion Malczewskiego w Bełżycach, jazdę zaś w nieładzie i upadłą na duchu. Postanowił tedy cofnąć się do Wronowa jeszcze podczas nocy, przejście bowiem w dzień przez równinę Bełżycką wobec przewagi jazdy ruskiej uważał za niebezpieczne. Dla osłonięcia odwrotu tego Łagowski z 4-ma szwadronami musiał ruszyć na Chodel i stanąć tam na biwaku w pobliżu prawego skrzydła pozycyi Wronowskiej; w Bełżycach pozostawiono dwie kompanie...

Na Żmudzi.

Wspomnienie historyczne z 1831-go roku.

A kto to najpierwszy
Do boju się budzi?
To ziemia nad Dźwiną,
To lud świętej Żmudzi!

Do walki za wolność
Żmudź święta się zrywa
I pierwsza tam targa
Niewoli ogniwa.

I zawrzał Dynaburg,
I sioła i miasta —
I na koń tam skacze
Bohater — niewiasta.

Emilja to Plater,
W mundurze ułana,
Porywa Żmudź z sobą
Od łana — do łana.

Emilja to Plater
Tak rzuca się w boje,
I świeci jak gwiazda,
Nad pola tam swoje.

O mężna ty Polko,
Żmudzinko ty śmiała!
Cześć męztwu twojemu,
Odwadze twej — chwała!

Jan Sawa.

Jankowa święconka.

(Obrazek ze wsi).

Jasna noc kwietniowa. Gwiazdy skrzą się nad głową, niby jasne świece koło cudownego obrazu w parafialnym kościele, do którego oto wszystkiemi drogami spieszą ludzie na nabożeństwo solenne — na Rezurekcyę.

Wśród ludzi, śpieszno podążających do kościoła, szedł Janko z Cyganówki. Szedł do kościoła, aby pokłon dać Zmartwychwstałemu Jezusowi, a także aby poświęcić tę odrobinę ciasta, którą spiekła chora jego żona, Magda, na jutrzejsze święto.

Szedł Janko sam jeden. Koło niego przejeżdżali bogatsi, gromadami przechodzili sąsiady, a wesoły ich pogwar raz po raz dolatywał do uszu Janka.

— Szczęśliwi! wesoło im na sercu, nic im nie dolega, biedy nie znają — pomyślał sobie Janko — nie to, co jemu.

Kędy okiem rzuci, wszędzie bieda mu w oczy zaziera. Rósł sierotą, cudze kąty wycierał; podrósł, wyszedł na parobka; ciężką pracą, bo od doświtku do późnej nocy, dorobił się kawałka pola, ubogiej chatyny i skromnego przyodziewku. Wziął sobie Magdę za żonę, rok już, jak się pobrali, żyją zgodnie, spokojnie, ale ile przez ten rok biedy się najedli — Bogu tylko wiadomo.

Chleb nie urodził, zarobków nie było, mrozy takie, że ziemia stękała, a tu ani drew, ani ciepłej strawy, — zwyczajnie jak u biednego.

Krzepił się Janko ze swoją Magdą, ale bieda przemogła. Na zwiastowanie zległa Magda i oto już od tego czasu leży w ogniach cała. A w chacie choćbyś wszystkie kąty obszukał — pustki jeno i wilgoć znajdziesz. Co było lepszego sprzedał Janko na leki i na ciepłą strawę dla swojej Magdy. Teraz oto niesie trochę ciasta, ale tyle tylko, żeby było czem się podzielić, ojcowskim obyczajem, w dniu jutrzejszym, ale i to ciasto, to z ostatniej mąki, kupionej za ostatnie groszaki.

Westchnął Janko głęboko, wzniósł oczy do góry, hen do tych złotych gwiazdeczek Bożych, a one tak jakoś skrzyć się poczęły, niby czarną dolę jego rozjaśnić chciały.

Począł Janko się modlić. Modląc się ani spostrzegł, jak przyszedł do kościoła.

Wszedł. Chciał się przecisnąć do świętego grobu, ale nie mógł — siła ludzi napchało się do kościoła. Stał Janko na miejscu i rozglądał się, gdzieby mógł spokojniej się pomodlić. Obaczył miejsce swobodniejsze w ciemnym kącie, pod organami — poszedł tamtędy.

Ukląkł, pocałował nabożnie poświęcone miejsce, na którem klęczał, wzniósł ludowym obyczajem ręce i o-

czy do góry i począł się modlić, gorąco, serdecznie.

Snać zbiedzona dusza jego potrzebowała modlitwy, bo oto tak się zamodlił, że o wszystkiem zapomniał. Nie czuł, jak w tłoku potrącano go, jak mu po nogach deptano, modlił się ino, aż mu oczy rozjaśniały, a w duszy coś tak grało, coś tak chodziło, że słowa same się wyrywały z ust i leciały hen, daleko, do tej Niebieskiej, do tej Złocistej, Promiennej, co tam, wysoko, nad ołtarzem, piękna jak malowanie, w złotych szatach skrzyła się od ognia.

— O Mateńko Święta! Spójrz ino na mnie! robaczek ci ja nędzny, ubogi. Ciężka bieda ze świata mię wygryza. Ani to ja ojca, ani matki, ani doli żadnej nie mam. Sierotam ci ja biedny, beznadziejny. O Mateńko Słodka! Ludziom szczęście, ludziom dola, a mnie z Magdą ino łzy na licach, aż jagody pozsychały. Daj jej zdrowia, niech nie niknie, nie marnieje. O Mateńko Słodka! Daj też chleba trochę, ...le, aby przeżyć nam w spokoju.

W ... tem tłumy, otaczające Janka, zachwiały się, niby złote łany wiatrem ...gnane, zaszumiały.

Ksiądz proboszcz wyszedł z nabożeństwem.

Po chwili z Monstrancyą w ręku, odwrócony do ludu, śpiewał radośnie, aż serca dygotały.

„Wesoły nam dzień dziś nastał“.

Zadzwoniły dzwoneczki anielskimi głosy, zabrzmiały organy, zahuczały dzwony, aż kościołek zadrgał, a z tysiącznych piersi, jako jeden głos wyrwało się potężne, duszę wstrząsające „Alleluja!“

Ocknął się Janko, zerwał się na nogi, spojrzał — ludzie walą się do kościoła: procesya rusza. A śpiewają, aż w kościele dudni, a na którą twarz spojrzysz, jaśnieje ci radośna, jak słońce, a taka jakaś rozśpiewana, rozmodlona, niby samo niebo nagle obaczyła.

Ludzka fala pochwyciła Janka, pochłonęła, udzieliła mu tego uczucia, jakiem były przepełnione rozśpiewane serca i on, pełen jakiejś słodkiej radości, śpiewał, aż mu tchu w piersiach brakło:

— Alleluja!

A dzwoneczki dzwonią głosy anielskimi, a tu huczą dzwony, a z tysiącznych piersi rwie się ku niebu hejnał Zmartwychwstania:

„Piekielne mocy zwojował,
Nieprzyjaciela podeptał,
Alleluja! Alleluja! Alleluja!“

A w duszy coś gra, a w sercu coś chodzi, niby żywe, aż dygoce całe.

— O Jezu Słodki!

Ludziska się cisną i on się przeciska. Dokąd i po co? albo on wie? byle w tyłach nie pozostał.

Przeciska się, przedziera przez tłumy, byle bliżej kapłana, byle ujrzeć Jezusa w Monstrancyi.

Przedarł się — ujrzał... I olśniło go, aż mu oczy zadrgały.

Pod baldachimem, wśród setek jarzących się świec, złota Monstrancya mieniła się od skier i ognia, olśniewając oczy otaczających. Ujrzał Janko Boga Prawdziwego i duszę jego niby warem oblano, a tak jakoś tam w sercu jasno, pogodnie się zrobiło, niby złote blaski zajrzały do rozśpiewanej duszy jego.

I śpiewał Janko, aż się sam sobie dziwował, skąd tyle siły w słabych piersiach jego nagle się znalazło.

Śpiewając, ani spostrzegł, jak procesya już trzy razy obeszła dookoła kościoła, jak do niego wróciła.

Jeszcze chwila i nabożeństwo się zakończyło.

Ludzie zaczęli rozstawiać wzdłuż kościoła swoje święconki. Podszedł więc Janko, rozłożył swoją.

Wyszedł Ksiądz Proboszcz w komży, z kropidłem w ręku, pomodlił się, pokropił i za chwilę ludzie, zabrawszy święconki, zaczęli się rozchodzić każdy w swoją stronę.

Zabrał Janko swoją i wyszedł z kościoła.

Ludzie spieszyli do domów. Każdemu było pilno pod strzechę, bo tam zbierze się gromadka, podzielą się święconkę i zaśpiewają *„Alleluja!“*



B. Plockhorst. **U stóp Krzyża.**

Janko stał jeszcze koło kościoła i rozglądał się, czy nie obaczy kogo z Cyganówki, aby razem iść.

Gdy tak się rozglądał, nagle usłyszał płacz jakiś, a potem słowa z płaczem wymawiane:

— Litościwi chrześcianie! Ojcowie wy moi! zlitujcie się nad sierotą bezdomną!

Obejrzał się Janko. O kilka kroków od niego, stała jakaś kobieta, ale taka wychudła, straszna niby upiór

ki. Stała z dzieciną na ręku, a z pod wystrzępionych łachmanów wyzierało ciało jej zziębnięte, aż się trzęsło, dygotało, a dziecko płakało.

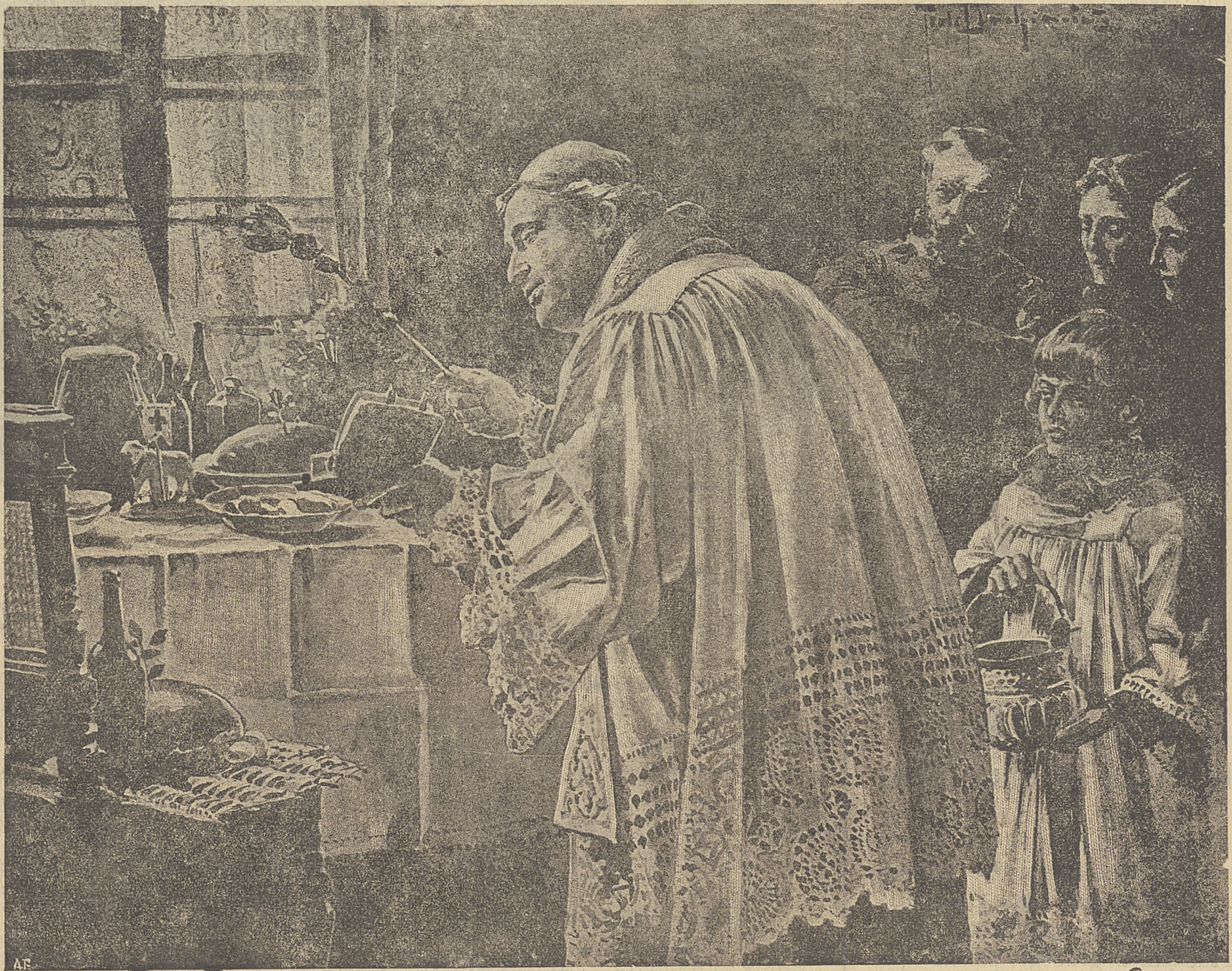
Ujrzał ją Janko i aż się żachnął. Takiej bo nędzy nigdy jeszcze nie widział.

Sięgnął do kieszeni, aby co dać, ale Święconkę oddał! A jakież to będą święta bez święconki? A czemże się podzieli z Magdą, gdy w domu ani okruszyny chleba?

— Matka święta zapłaci tobie! — zabrzmiało mu w uszach. Westchnął Janko całą piersią: o! Mateńko Słodka! — myśl jego poleciała, hen gdzieś

Wtem słyszy płacz jakiś. — Blada, zziębnięta, sucha aż się chwieje, stoi przed nim kobieta z dzieciną na ręku. Trzęsie się ciałem, aż dygoce, a dziecina, niebożątko, kwili.

Bogaci przechodzą, ale żaden nie daje datku żebraczce, a on, Janko, ostatnią święconkę jej oddaje.



Święconka.

pustki tam tylko znalazł. A kobieta ujrzała ruch jego i wyciągając ku n mu swoją chudą rękę, jęczała:

— Człowieku Boży! obacz nędzę moją, a ulituj się, jeśli już nie nademną, to choć nad tym robaczkiem.

Nie mógł dłużej Janko patrzeć na taką niedolę.

Żal mu się serdeczny zrobiło i tej słabej kwilącej dzieciny i tej kobiety zziębniętej; zbliżył się przeto ku niej, a oddając swoją święconkę rzekł śpiesznie:

— Macie, spożyjcie z Bogiem!

Sam zaś, nasunąwszy czapkę na oczy, co rychlej poszedł na stronę, tak, że już z daleka doleciało do uszu jego.

— Matka święta niech ci zapłaci!

Odszedł Janko kawał drogi i dopiero teraz zaczął rozważać co on uczynił.

daleko, do tej Promiennej, Złocistej, do której modlił się w kościele...

Przyszedł do domu. Otworzył chatę ,przestąpił próg, spojrzał — Magda, przykucnąwszy na łóżku, odmawia Różaniec.

Markotno z początku było Jankowi, ale po chwili podszedł do Magdy i opowiedział jej szczerą prawdę. Magdzie bardzo się podobał uczynek Janka.

Porozmawiali jeszcze trochę, a że nie było czem się dzielić, pomodlili się przeto i spać się pokładli.

Zasnął Janko, ale i przez sen brzmiały mu w uszach organy, dzwoneczki dzwoniły, huczały dzwony i rozbrzmiewało — *„Alleluja!“*

I znowu w piersiach coś mu zagrało, coś po sercu, niby żywe chodzić poczęło, a tak jakoś słodko, że aż się na płacz zbierało.

— Matka święta zapłaci tobie! — Westchnął Janko, spojrzał do góry, a tam w górze nagle niby niebo się rozwarło, a światłość bije stamtąd większa niż od słońca i jasnością wielką oświeca i tę kobietę, i tę dziecinę i święconkę Jankową, aż się lśni i mieni wokoło.

I zadzwoniły dzwoneczki głosy anielskimi i zagrzmiały dzwony, zaśpiewało wszystko wokoło i nakle, wśród jasności niebieskiej, ujrzał Janko samą Matkę świętą, taką samą, jaką widział w kościele.

Schodziła Matka święta z nieba ... obłokach z Dzieciątkiem na ręku, a w około anieli, wszyscy w bieli śpiewają, niby dzwoneczki w kościele. A jeden z aniołów, najjaśniejszy, podchodzi do tej bladej, zziębniętej kobiety, bierze z jej rąk święconkę Jankową i niesie

ją do Matki świętej. Wzięła ją Matka święta i podała swojej Dziecinie a Dziecina święta zaczęła swemi drobnemi rączętami łamać święconkę i drobić ją na okruszyny i rozsypywać je, niby ziarna, z góry na dół, na ziemię.

Spojrzał Janko — aż to na rolę jego, na ubogą, ziarenka te lecą, a gdzie jeno upadną, — łany wyrastają, a takie bujne, takie złociste, aż kłosy się uginają do ziemi. A wiatr po nich chodzi, a one szumią i kołyszą się, aż się serce raduje. A anieli wciąż grają i dzwoneczki dzwonią, a wokoło wszystko śpiewa, aż duszę Jankową rozpiera.

Uderzył Janko czołem o ziemię. Na płacz mu się z radości zebrało i zapłakał, załkał, jak nigdy w życiu.

Obudził się Janko. Przetarł zapłakane oczy, spojrzał do okoła. Ta sama chata uboga, Magda tu, podle niego i wszystko zda się tak było.

Ale nie, nie tak, bo i ta chata uboga i ta dola jego ciężka, sieroca, już nie tak strasznie się wydały Jankowi, jak przedtem. Nadzieja lepszej d... wstąpiła do serca.

Mateńka bo święta jaśniała nad sierocą głową Jankową, a Dziecina święta rozsypała ziarenka święte na rolę jego.

Ks. Feliks S.



Rezurekcya.

PISANKI
czyli jajka wielkanocne.

— O jej! jakżem się zmordowała — zawołała Józefka, myjąc garnki i miski. Józefka stoi koło komina, z rękawami wysoko zawiniętemi, opasana fartuchem z grubego płótna; pracuje tak, że od czasu do czasu kropelki potu występują jej na czoło.

Nie opodal szafy stoi siostra jej, Mania.

Obiedwie dziewczynki urodziły się jednego dnia, a przecież nic a nic nie są do siebie podobne.

Buzia Józefki jest okrągła i rumiana, jak malinka; twarzyczka Mani jest blada, a wielkie oczy patrzą smutnie na świat.

Mania założyła rączki i rzekła żałosnym głosem:

— O tak matuchno, myśmy się bardzo zmęczyły!

— Cóż robić — odpowiedziała mama — jutro Wielkanoc, trzeba więc wszystko w mieszkaniu uporządkować do wieczora.

Dziewczynki zabrały się zno... roboty; czyszczą, myją, zamiatają.

Ale oto porządki już skończone.

— No teraz moje dzieci, zabierzmy się do pisanek... — powiedziała ma... z uśmiechem.

Cały dzień dziewczynki myślały tylko o tem, podskoczyły więc teraz i w ręce klasnęły z radości.

Józia pobiegła po koszyk z jajami; mama sypie jakieś trzy proszki do trzech garnuszków, zaparza wrzącą wodą i miesza prędko, jak można najprędzej. Dzieci są zachwycone.

— Jaki śliczny czerwony kolor, niby mak polny — woła Józia.

— A ja wolę niebieski, podobny do nieba! — mówi Mania.

— Ja lubię także żółty.

— Włóż, Józiu, jajka do wody — powiedziała mama.

Józia włożyła jajka do garnka i postawiła na ogniu, pilnuje jaj, a Mania siedzi wsparta o stół i przygląda się jej robocie.

Oto jajka już ugotowane, mama wpuściła je do garnuszków z farbami. Czekają chwilę, a potem wyjmują jajka, które wychodzą ztamtąd czerwone, żółte i niebieskie. Dziewczynki są zachwycone. Myślą o jutrzejszej zabawie.

Ale Mania zamyśliła się czegoś, wreszcie spogląda na mamę poważnie i pyta:

— Czy wszystkie dzieci mają pisanki na Wielkanoc?

— O nie, jest na świecie dużo biednych dzieci, o których nikt nie myśli, nikt im żadnej przyjemności nie sprawi.

Mania wsparła głowę na ręku i siedziała dalej w zamyśleniu.

— No, a teraz —rzekła mama — niech każda z was wybierze po sześć pisanek.

— Matuchno — powiedziała Mania — biedny Janek ciągle leży chory w szpitalu. Jak bym ja chciała...

I Mania wspięła się na końcach palców i szeptała coś na ucho mamie.

Mama pogładziła ją po głowie.

— Jak chcesz, moje dziecko — odpowiada.

— O, jak to dobrze, ale musimy wyłożyć koszyczek mchem — powiedziała Józia, która zaraz cały sekret odgadła.

— I ubierzemy kwiatami — dodała Mania.

Siostry włożyły sześć najładniejszych pisanek do koszyczka i pobiegły na łąkę. Józia skacze jak pliszka, a Mania chodzi zwolna, spoglądając na słońce, które chyliło się ku zachodowi.

Nagle Mania zawołała:

— Spieszmy się, bo słońce niedługo zajdzie. Dziewczynki pobiegły nie oglądając się na nic i zdyszane zatrzymały się na łące nad strumykiem. Na brzegu rosło dużo świeżego zielonego mchu; dziewczynki spiesznie wysłały mchem koszyczek; nazbierały fiołków i pierwiosnków, które zamykały już na noc swoje korony.

Siostry wesoło rozmawiając powróciły do domu.

Na stole mama przygotowała już skrzyneczkę, którą zaraz wysłano mchem, a na nim Mania od siebie położyła trzy jajka, a Józia od siebie także trzy. Wszystko to przykryto znowu mchem i włożono kwiatów, ile się tylko zmieściło.

— A teraz — rzekła matka — wynieście skrzynkę do ogrodu ażeby kwiatki nie powiędły. Dziewczynki pojechały do miasta, były w kościele, i zaniosły do szpitala skrzyneczkę. Wręczyły ją zakonnicy dla Janka sieroty.

— Czy znacie tę wielką, białą salę, gdzie długi rząd łóżek stoi pod ścianami.

To szpital.

Janek sierotka leży na jednem z łóżek, blady i smutny. Jego wychudłe ręce spoczywają nieruchome na kołdrze, a wielkie, błyszczące oczy spoglądają w górę na mały kawałek pieca, jaki można dojrzeć przez okno.

I marzy się Jankowi, że on znowu bawi się przed domem, w którym mieszkał przed rokiem z nieboszczką matką.

Widzi kury, grzebiące na podwórzu, Medora, który wyleguje się na słońcu; widzi śliczne kwiaty, kwitnące na grzędach w ogródku.

Janek marzy i wzdycha.

Kiedy to wszystko zobaczy, kiedy pobiegnie na łąkę, popędzi krówkę wzdłuż drogi, wykręci fujarkę z wierzbowych gałązek?

Może nigdy, nigdy się to nie stanie. Piersi go tak bardzo bolą, kaszel tak męczy! Wielkie łzy wypływają z jego gorączką błyszczących oczu. Życie mu się wydaje smutne, ciężkie, bolesne!

A tymczasem w mieście wszystkie dzwony zadzwoniły radośnie, oznajmiając światu Zmartwychwstanie Zbawiciela. Inne dzieci są szczęśliwe — idą z rodzicami do kościoła, dzielą się jajkiem święconem, dostają śliczne różnokolorowe pisanki.

Ale Janek jest sam na świecie, niema już matki, która myślała o nim, nikt go nie kocha, nie myśli o nim...

Aż tu drzwi się otwierają, do sali szpitalnej wchodzi siostra Amelja z jakiemś pudełkiem w ręku.

— To dla ciebie, Janku — mówi wesoło.

— Dla mnie? — zapytuje Janek, otwierając zadziwione oczy. On nigdy nie otrzymywał posyłek, to chyba nie dla niego; siostra Amelja pewnie się omyliła.

— Ale nie, moje dziecko — mówi siostra — to na pewno dla ciebie, zobacz tylko adres:

JANEK BARSKI
w szpitalu świętego Rocha sali 14.

Janek drżącemi rękami rozwiązuje sznurki, jego dwaj sąsiedzi podnoszą się na lokciach i spoglądają ciekawie.



Poświęcanie jajek wielkanocnych we Wschodniej Galicyi.

Siostra pomogła otworzyć Jankowi pudełko i ukazały się w niem fiołki i pierwiosnki.

— Kwiaty, śliczne kwiaty! — zawołał Janek radośnie i powolnym, słabym ruchem chorego dziecka zaczął wyjmować kwiatek po kwiatku, wąchał każdy po kolei i pokazywał wszystkim na sali. Najwięcej podobały mu się fiołki.

Smutna sala szpitalna ożywiła się i zapachniała.

Janek zdejmuje ostrożnie mech i znajduje w głębi pudełka sześć ślicznych pisanek, żółte, czerwone, niebieskie.

Janek spogląda na nie w milczeniu, potem na jego gorączką spieczonych ustach zjawił się gość, dawno nie widziany — uśmiech pełen wesela.

— Pisanki! — woła, pokazując każdą swoim towarzyszom. — Która z nich najładniejsza?

— Wszystkie są śliczne — odpowiadają obydwaj chorzy.

— Poczekajcie, ja się z wami podzielę, tylko sam się pierwej napatrzę.

Trzej towarzysze są zachwyceni.

Dzień Wielkanocny przeszedł im wesoło.

Wieczorem przed zaśnięciem Janek obejrzał jeszcze raz wszystkie kwiaty, które siostra Amelia postawiła przy nim na stoliku, potem zamknął zmęczone powieki i zasnął z uśmiechem na ustach.

I śniły mu się jasne niebiosa, ciepłe słoneczko, wiosna i dużo kwiatów.

Naśladowane z Ludwiki Korba.

Zmartwychwstał Pan!

Zmartwychwstał Pan! Czemuż opuszczać ręce?
Zmartwychwstań dzień każdemu będzie dan,
Wytchnienia świt po czarnej błyśnie męce,
Uśmiech po łzie. — Oto zmartwychwstał Pan!

Zmartwychwstał Pan! I czemuż żółć tęsknoty
Wysączać wciąż na każdą z duszy ran?
Wszak zjawi się ukojeń kielich złoty,
Bo żyje duch! — Oto zmartwychwstał Pan!

Zmartwychwstał Pan! Pod zwątpień chłodnym głazem
Ty, co tam śpisz: „mdłem ciałem“ słusznie zwan,
Zbudź chętnym duchem „ciało mdłe“ i razem
Wzlatujcie wzwyż! — Oto zmartwychwstał Pan!

Bożymir.

Na Golgocie.

(Z legend ludowych).

Kiedy Chrystus konał na krzyżu w cierniowej koronie, ślepy grajek, siwutki, odpychany przez zbirów, grał umęczonemu za nas Synowi Maryi na swoich skrzypkach na górze trzech krzyży... Wdzięczny mu za to, Pan Jezus zabrał go wraz ze skrzypkami do nieba, by Jego ojcu przygrywał wiecznie wśród anielskich chórów. I jest w niebie ślepy grajek do dziś dnia patronem wszystkich skrzypków, co sobie wiek po wieku na wzór brali instrument jego i grać się od niego nauczyli po bożemu...

Kimże był ów grajek ślepy?

Kiedy Pan Jezus był szesnastoletnim młodzieńcem, zdarzyło się, iż pewnego wieczora szedł drogą samotnie, po za wsią cicho, oświetloną srebrzystym blaskiem księżyca. W tem z zamyślenia wyrwał Go śpiew, dolatujący z pod lasu. Przystanął On na chwilę i słuchał. Śpiew był tak rzewny, że litość budził. Czuło się łzy i jęki żalu i rozpaczy w tym smutnym głosie, rozlegającym się w ciszy wieczornej. Roztkliwiło się serce Jezusowe. Postanowił poszukać nieszczęśliwego człowieka, który tak smętnie skarżył się niebu w odludnem ustroniu.

Na kraju lasu grabowego, pod starą, rozłożystą lipą, stał człowiek w łachmanach postrzępionych, nikły, kościsty, o włosach przez pół posiwiałych, mimo niepóźnego wieku, o twarzy zwiędłej, wynędzniałej. Gdy usłyszał, że ktoś nadchodzi, przestał śpiewać. Zbliżył się Jezus do niego i w twarz mu spojrzał w jasnem świetle księżyca. Ten biedak nie miał oczu, tylko pod czołem pomarszczonem dwa głębokie doły, na które na zawsze zapadły żółte powieki. Nie zobaczył ślepiec Jezusa, lecz przeczuł czyjąś przy sobie obecność i począł pilnie nadsłuchiwać.

— Kto jesteś, biedny człowieku? — spytał Jezus.

— Z jałmużny żyję... Śpiewam ludziom za kawałek chleba, ale nikt już słuchać nie chce mego śpiewu... Z przed bramy odpędzają mnie psami, naigrawając się z mej ślepoty... A mnie i śpiewać nie łatwo, gdym głodny.

— A grać na niczem nie umiesz, biedaku? łagodnie zapytał młody Jezus ciemnego.

— Nie umiem, a szkoda, bo możeby chętniej kto posłuchał i grosz mi rzucił od proga...

— Mówisz, że chętniejby cię słuchano — rzekł Jezus i zamyślił się głęboko, a ślepiec głową kiwając, szeptał:

— Możeby i Bogu milej słuchać było mojej przy muzyce modlitwy i snadniej dopomógłby biednemu.

— Bądź o to spokojny... Nasz Ojciec niebieski pamięta o każdem stworzeniu Swojem i już ciebie wysłuchał. Dopomoże ci w twem nieszczęściu... Wierzysz?



„Oto jest ciało moje. Oto jest krew moja. Czyńcie to na moją pamiątkę."

— Wierzę, że gdy Bóg chce, to wesprze i ślepca, ale On gniewny i przebłagać Go trudno... Ja się modlę do Niego od dawna, śpiewam co wieczór ku czci Jego, a jednak wysłuchać mnie nie chce.

— Bluźnisz Mu, nieszczęśliwy człowieku... Uwierz, że On jest Ojcem naszym i jednako kocha Swoje dzieci, a przekonasz się o tem... Ale musisz silnie w to wierzyć.

— Nie wiem, panie, kto jesteś, bo nie widzę, ale gdy cię słucham, zdaje mi się, że aniołem jesteś, tak mi do duszy głos twój przemawia... Wierzę w to, co mówisz...

— Więc posłuchaj mojej rady... Będziesz odtąd grał Bogu i ludziom... I Bóg cię wysłucha i ludzie słuchać cię będą chętnie... Poczekaj...

Wyjął Jezus z za pasa kozik ostry, którego używał w Józefowym warsztacie, naciął nim drzewa lipowego i usiadłszy na pniu, począł nim strugać a strugać. Ponacinał deszczułki cieniuchne i sporo drobnych kołeczków, pozbijał razem to wszystko, aż się z tego zrobiło dziwnych kształtów pudełko wydłużone, pokręcone... Poszedł potem w gąszcz leśną, gdzie szukał czegoś długo przy miesięcznej lampie, aż wrócił pod lipę z pękiem dziwnych jakichś nici. Ni to były konopie, ni łyko.

Kędy to znaleść, nikt nie wie... Przysiadł znowu na pniaku i na próżnem pudle ponawijał one nici na kołeczki mocno, a potem osobno, wzdłuż wystruganego pręcika, cieńkiego, a prostego. Gdy wszystko było gotowe, obejrzał to Jezus z zadowoleniem.

— Słuchajno człowiecze: zrobiłem ci instrument, na którym zaraz grać cię nauczę...

— A jakże się on instrument nazywa?

— Nijak się on nazywa, bo go jeszcze ludzie nie znają. Nazwiesz go sobie, jak zechcesz.

— Boże wielki! To się też ludzie będą temu dziwowali!

Wziął Jezus pręcik w prawą rękę, a lewą trzymany instrument oparł o pierś pod brodę... i nicią przy pręcie umocowaną począł suwać po nitkach u

instrumentu. Za głowę złapał się ślepiec uradowany.

— Dla Boga! Jakoż to ślicznie skrzypi, jak gdyby kto śpiewał najpiękniej... Skrzypi a skrzypi coraz piękniej...

I cały w słuch się zamienia, chwytając tony, jakie wydobywały się z nieznanego przedtem instrumentu. A piękna to była muzyka... niby śpiew aniołów niebieskich; rzewna, jak skarga ślepych, że im Bóg nie pozwolił światła oglądać, a uroczysta, jak pieśń modlitewna. Ciemny upadł na kolana, porwany muzyką nieziemską; modląc się gorąco, łzami zalewał twarz, pośrodku której nie miał oczu, by niemi oglądać Jezusa. Gdy dźwięki ucichły, dziękował gorąco Jezusowi, przekonany już, iż odtąd ludzie słuchać go będą i nie poskąpią mu jałmużny.

Wtedy Jezus dał mu do rąk instrument i nauczył go, jak ma grać na nim. Ślepiec grał uszczęśliwiony, że mu to tak łatwo poszło i sam sobie się dziwił, iż się tego długo nie potrzebował uczyć. Cieszył się, iż instrument tak czarownie skrzypiał i powiedział, że go dlatego nazwie skrzypkami. Jezus rzekł do niego:

— Idźże z temi skrzypkami po świecie, grywać ludziom w złej i dobrej doli. Może niejedno serce zatwardziałe grą swoją skruszysz, niejednego w smutku pocieszysz, a szczęśliwym przypomnisz, ile jest nędzy i nieszczęścia na świecie... Idź w świat, grać Bogu i ludziom!...

— Panie, a czemże Ci się odwdzięczę? — zapytał grajek.

— Jeżeli chcesz tego koniecznie — odparł mu Jezus — to pamiętaj: skoro się kiedy dowiesz, że syn Maryi umiera, cierpiąc katusze, weź swoje skrzypki i przyjdź mu na nich zagrać na Golgocie...

Staropolskie zwyczaje.

W całym świecie chrześcijańskim od wieków obserwowane bywają w sposób uroczysty święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy.

O ile jednak, na ogół biorąc, obchody uroczyste świąt głównych i przywiązane do nich obrzędy u wszystkich ludów były potrzebą, a częstokroć, ze względu na rygor średniowieczny, jedyną furtką powszechnej wesołości, o tyle u ludów słowiańskich wypływały one z charakteru sposobu życia i zajęcia.

Zwyczaje te i obrzędy, które rozdzielićby nam należało na obrzędy rdzennie chrześcijańskie i wyrosłe z kultu pogańskiego, uświęcone przez zwyczaj, prawo i Kościół; następnie na zwyczaje warstw wyższych, średnich i gminu — posiadają wszystkie pewien punkt wspólny, różniąc się jedynie w szczegółach, odpowiednio do rozmieszczenia etnograficznego, i z tego tytułu rozdzielićby je należało na obrzędy obserwowane na Mazowszu, w Wielkopolsce, Krakowskiem i na Pokuciu.



Śmigus w Krakowskiem.

Omawiając rzecz źródłowo, nie możemy przemilczeć o szczególnem wyróżnieniu charakterystycznem, jakiem otaczają w obchodach święta Wielkiejnocy, które dawniej zwłaszcza trwały przez cały wielki post, to jest 70 dni, mianowicie od środy starozapustnej, a które jako ciekawe reminiscencye przeszłości, poniżej w streszczeniu przytaczamy.

Jest ich cała serya, którą znowu podzielić można na obchody wielkopostne, obchody Wielkiego Tygodnia i świąteczne.

Takim wielkopostnym obrzędem był sąd nad bałwanem, przedstawiającym miesopost i ścinanie go publicznie w oczach gawiedzi, co, rozumie się, było hasłem ogólnej wesołości.

W środę popielcową, gopodarze wiejscy lub mieszczanie, przebrani w suknie dziadowskie ze śledziem na kiju uwiązanym, przewodzili orszakowi chłopców, którzy dziewkom i parobkom lub pannom i kawalerom w miastach przyczepiali z tyłu sukien łapki kurze za karę... celibatu. Zwyczaj ten, ongi u ludu naszego powszechny, obserwowanym dotąd bywa w Czechach, jak o tem wspomina Henusz w Bujesławnym kalendarzu.

Wogóle charakteryzując obrzędy dawne i zwyczaje naszych przodków, powiedzieć można, że o ile życie społeczne wieków dawnych ograniczały pewne formy i przepisy kościelno-obyczajowe, o tyle przy zdarzonej sposobności, humor i fantazya płynęła pełnem korytem.

Nazwa suche dni stanowiła dawniej terminologię, oznaczającą czas płacenia czeladzi winnych zasług, które uiszczano na początku roku w poście, zkąd poszło „podnieść suche dnie''.

Do chrześciańskich już obrzędów należał obchód, o którym wspomina nasz Rej w Postylli.

Obrzęd ten w dawnych wiekach powszechnym był nie tylko w Polsce, ale i w całym świecie chrześciańskim. Zasadzał się zaś na uprzytomnieniu uroczystego wjazdu Chrystusa Pana do Jerozolimy.

W niedzielę palmową chłopak, przebrany za Jezusa, przyjeżdżał na osiołku, otoczony orszakiem chłopców przed drzwi kościoła, gdzie tłum nabożny witał go uroczyście, rzucając palmy pod nogi.

Czcią wielką otaczano dawniej palmy święcone, którym przypisywano cudowne własności, a mianowicie „moc od gromienia chmur gradowych'' i w tym celu przechowywano je w domach przez rok, by w wypadku burzy, posypać liśćmi z nich zagrożone pola i uchronić od zniszczenia zasiewu.

Do innych znowu obrzędów należały obchody „puchernika'' i „koniarzy'', przypominające jasełka.

Powszechny także był zwyczaj mycia nóg starcom lub klerykom w Wielki Czwartek, którego to aktu dokonywali królowie lub biskupi. Również do zwyczajów należało zastawiać wieczerzę rybną w Wielki Czwartek, na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej.

W Wielki Piątek znowu sprawiano tak zwane „panachidy'' nad żurem i śledziem, to jest postnemi potrawami, które odnośnie do ostatniego, zasadzały się na tem, że śledzia uwiązanego na powrozie wieszano uroczyście na suchej wierzbie za karę, że przez siedm niedziel morzył głodem żołądki.

Sam zwyczaj „święconego'' odleglej sięga starożytności, powszechnym zaś jest jedynie między narodami słowiańskimi. W Polsce zwłaszcza obyczaj ten z wielką obchodzony był uroczystością, rozwierając upusty znanej powszechnie gościnności.

Na co tylko zamożność domu, zręczność gospodyni i szafarki, kunszt i dowcip pasztelnika i kucharza zdobyć

się mogły — wszystko to służyło do uświetnienia i ozdoby „święconego". Po domach możnych zastawiano niem stoły olbrzymie, ciągnące się wzdłuż sali jadalnej. W środku stał baranek, misternie wyrobiony z masła, z maślaną wełną i oczyma wyrobionemi z drogich kamieni. W około stołu i pod ścianami zastawiano, stósownie do zamożności domu, zwierzynę wszelką, jak: dziki, jelenie, tury upieczone w całości i wypchane drobną zwierzyną, drobiem, prosiętami itp. Stoły, a nawet ściany pokoju zdobiły zwoje kiełbas, sięgające aż do pułapu, wędzonki, ozory, półgąski i stosy jaj czyli pisanek.

Dalej ustawiono rzędem placki różnego rodzaju i kształtu, przekładane bakaliami, baby potwornej wielkości, wyobrażające zamki i grody, wreszcie kołacze i jajeczniki, serowce, maczniki, przekładańce i mazurki.

Trunków wszelkiego rodzaju dostatek, wódek, piwa i miodu całe antały. Układano wszystko w sposób malowniczy i wdzięczny dla oka i, co najważniejsze, symbolizujące pewną myśl lub uzmysławiając plastycznie pewne akty czy sceny religijne, jak o tem wspomina Słowacki w „święconem" u Radziwiłła, Mikołaj Pszonka w „święconem" u hetmana Tarnowskiego.

Przypisywano także pewne własności lecznicze poszczególnym częściom święconego. Tak n. p. placek wielkanocny, przełamany na kawałki, rozdawano między krewnych i przyjaciół, by do następnego roku uchronić ich od wszelkiej przygody.

Główną zastawę święconego u ludu stanowią kołacze, pierogi, placki, knysze, wędliny i jaja. Na Mazowszu do niezbędnych należą: baranek na sucho pieczony, placki, pełne szafranu, jaja, pisanki; bogatsi dodają jeszcze nogi wołowe studzone, wędliny i tak zwaną „garlitę", przystrajając wszystko bukszpanem, barwinkiem i chrzanem.

Na Pokuciu, w kołomyjskiem „święcone" zasadza się na przygotowaniu paski, którą gospodyni piecze osobno dla każdego z domowników. Ciekawym i wysoce charakterystycznym jest sam obrzęd pieczenia pasek, gdzie gospodyni przed włożeniem ciasta w piec, łopatą robi znak krzyża.

W owej chwili nikt z obecnych nie śmie usiąść, gdyż w takim razie, mówi zabobon, że i ciasto by opadło. Do kościoła udaje się cała rodzina, niosąc poszczególne części pieczywa, przeznaczonego do święcenia. I tak: ojciec niesie dwie paski, owinięte w obrusy, matka besahy, tj. worki z pleskanką sera i masła, jajami, wieprzowiną, sołą, pisankami, kuleszami i knyszami.

Po nabożeństwie i pokropieniu „święconego" gospodarz za powrotem do chaty, obnosi paskę po trzykroć na około obejścia, poczem dzieli ją na równe części, rozdając między rodzinę i domowników.

Na zakończenie jeszcze coś nieco o zabawach ludowych świątecznych. Te, jak inne obrzędy, rozdzielić znowu należy nam na staro-słowiańskie i chrześciańskie. Pogańskiego pochodzenia jest zwyczaj dotąd najbardziej obserwowany, a znany pod nazwą Radawnicy, Radzinicy lud Radnicy, tłuczenia lub tarzania jaj na mogiłach. Późniejszego, bo już chrześciańskiego pochodzenia jest „Baranek", zasadzający się znowu na obwożeniu po wsi baranka, symbolizującego niewinność Chrystusa, przyczem śpiewano okolicznościowe piosenki. *Z.*

ZŁOTE LISTKI
z dzieł Juliusza Słowackiego.

Próżno myśl geniusza świat cały pozłaca:
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.

* * *

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty:
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała:
Skoro ostygła, snycerz kształt jej nadał drogi.
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą.

* * *

Dwie są melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

* * *

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż, kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza!

Z dantejskich głębin.

Nie będzie wcale przesadą, gdy kopalnie węgla w Courrieres porównamy z dantejskiem podziemiem. Wstrząsające wizye poety włoskiego, przygniatające swoją potęgą czytelnika, są ostatecznie tylko wizyami, gdy tam, w Północnej Francyi, w głębiach duszych ziemi, rozgrywają się realne tragedye, przemawiające z niezrównaną siłą do ludzkiej duszy właśnie swoją rzeczywistością. Nawet wiadomość, że *zdołano przypadkowo wyratować 13 górników, a w kilka dni potem jednego,* obok radości wywołuje głęboki smutek, że tam *jeszcze mogą znajdować się ludzie,* konający w straszliwy sposób w olbrzymim grobie. To, co się dzieje w Courrieres od trzech tygodni, zasługuje na baczną uwagę nietylko jako żywiołowa katastrofa, ale także *żywy obraz stosunku kapitału do pracy.* To jest pobojowisko, na którem legli szlachetni w walce z bezwzględnymi. I jeżeli myślący ludzie nie żądają z tego powodu zemsty, to pragną natomiast, ażeby na przyszłość do ślepej a podstępnej walki żywiołów nie przybywała chciwość ludzka, lekceważąca najwyższe dobro ludzkie: życie.

Powrócimy może jeszcze do tych uwag, a teraz zanotujmy sam fakt wyratowania 13 ludzi.

Otóż opowiadania naocznych świadków niezupełnie się zgadzają co do szczegółów pierwszego spotkania, co przypisać należy tej okoliczności, że pośród mroku w kopalni, a zwłaszcza skutkiem wzruszenia ratujących, niepodobna żądać zimnej obserwacyi szczegółów, zresztą podrzędnych. Wedle jednej wersyi, podanej przez naocznego świadka, rychło rano zjechali robotnicy do kopalni, aby oczyścić zasypaną gruzami sztolnię w szybie II i utorować drogę do szybu III. Nagle wyjechał na świat jeden z robotników napół nieprzytomny ze wzruszenia i zawołał do mającego służbę inżyniera: „Na dole jest 13 żyjących zwłok, chcą się wydobyć". — „Żyjące zwłoki? — zapytał zdziwiony inżynier — co to znaczy?" — „Tak jest — odpowiedział górnik. — Żyjący ludzie, którzy uszli przed katastrofą". Inżynier i robotnicy rzucili się spiesznie do wejścia szybu i zjechali na dół. Niebawem zjawiła się winda, z której wysiadło 13 robotników do cieni podobnych.

Wedle drugiej wersyi, górnik Dufresne był pierwszym, który w kopalni usłyszał szmer, a następnie jęki w głębi sztolni. Dufresne z całej siły zawołał: „Towarzysze! Bracia!" i zaraz otrzymał odpowiedź. Przytłumione głosy jakby z gardła ściśniętego dobywały się z niewidzialnej ciemności:

— Chodźcie tutaj!

Grupa górników, która zjechała do kopalni dla uprzątania gruzów, rzuciła się w kierunku owych głosów i nawet odszukała 13 żyjących towarzyszów

pracy. Przy tej czynności ratunkowej odznaczyli się zwłaszcza robotnicy Pruvost i Grouillot, ludzie niezrównani w pracy, a przytem pełni humoru poza robotą. Pruvost znany jest pośród kolegów ze znakomitego gwizdania, a Grouillot ze swoich kupletów. Oni to nie tracili fantazyi i zachęcali resztę górników do akcyi ratunkowej, gdy niejeden już wątpił o skutku.

Gdy winda z wyratowanymi zatrzymała się na powierzchni ziemi, górnik Nemy wybuchnął śmiechem obłąkanego i dopiero po długiej chwili zdołano go uspokoić. A nie był to człowiek, skłonny do historyi. Tymczasem dokoła szybu zgromadziła się już znaczna gromada rodzin górniczych. Nemy, ujrzawszy swojego ojca, powitał go z płaczem, a potem zaczął opowiadać o swojem ocaleniu.

— Gdy wybuch wstrząsnął kopalnią, napełniając ją gazami i nieznośnem gorącem, uciekałem na oślep, potykając się na trupach. Dotarłem do końca chodnika, gdzie znalazłem 12 towarzyszów. Ujrzawszy mnie, podnieśli oni okrzyki rozpaczy, sądzili bowiem, że zdołałem dotrzeć do szybu i windą dostać się na świat, żeby następnie zarządzić czynności dla ratowania ich. Dodawałem im otuchy, jak mogłem. W kącie ganku przebyliśmy 8 dni. Nakręcałem zegarek, wiedzieliśmy więc godziny i zmiany dnia i nocy. Niestety brakowało nam żywności. Połykaliśmy ziemię, żuliśmy korę z drzewa, w ten sposób oszukując żołądek. Ale nie mieliśmy światła i pośród ciemności skazani na bezczynność, która nas straszliwie gnębiła. Wreszcie po omacku zaczęliśmy szukać wyjścia i po długiem błądzeniu doszliśmy do stajni końskiej. Tutaj przez dwa dni żywiliśmy się resztką owsa, pozostałego po koniach, a potem chwyciliśmy się padliny końskiej, która się już rozkładała. Na szczęście mieliśmy wodę, służącą do pojenia koni. W ostatnich dniach próbowaliśmy dzielić się na grupy i w ten sposób szukać ratunku. Wczoraj uczuliśmy lekki prąd świeżego powietrza i to nam dodało nieco siły. Zawlekliśmy się dalej do miejsca, gdzie nas wreszcie znaleziono.

To opowiadanie proste górnika, który te straszne dzieje uważa jakby za rzecz naturalną, wstrząsnęło słuchaczami. Tymczasem przybył lekarz i kazał wszystkich uratowanych odstawić do szpitala, gdzie ich zbadano. Lekarz oświadczył, że z powodu żywienia się drzewem, ziemią i zepsutem mięsem, zachodzi obawa febry infekcyjnej, mimo to wyraził nadzieję, że zdoła utrzymać przy życiu wszystkich trzynastu. Jeden z nich podczas wybuchu został zraniony w oko, a rana ta, zaniedbana przez 20 dni, zaogniła się. Pokoje, w których umieszczono uratowanych, siano zaciemnić, gdyż chorzy, po trzech tygodniach, spędzonych w ciemności, nie znoszą światła. Prócz tego przez cały czas pobytu w kopalni prawie nie spali, prócz gorączkowego drzemania i to ich również bardzo osłabiło.

Do szybu nr. 2 napływają zewsząd tłumy rodzin górniczych, które żywią nadzieję, że jeszcze i dla innych jest możliwym ratunek. Pojawiła się nawet pogłoska, jakoby udało się jeszcze wydobyć 4 górników, ale była fałszywą niestety. Pośród górników zapanowało ogromne wrzenie, zwłaszcza kobiety odgrażają się, twierdząc, że gdyby im pozwolono zjechać do kopalni, to byłyby wyratowały swoich mężów. Władze wydały zarządzenia wszechstronne, obawiając się groźnych rozruchów. W Paryżu wiadomość o wyratowaniu tej garstki górników wywołała ogromną radość, ale równocześnie i zarzuty, że dyrekcya kopalń mogła była uratować wielu robotników, gdyby energicznie była przystąpiła do czynności ratunkowych.

I rzeczywiście ta uwaga nasuwa się mimowoli. Wszak posiadano dosyć przyrządów ratunkowych, nie brakowało ochotników, którzy chcieli siłą dostać się do jej kopalni, ale dyrekcya oświadczyła, że ratunek niemożliwy i zastanowiła całą akcyę. A w takich razach nie powinno się mówić o niemożliwości, choćby istniała zupełna pewność teoretyczna. W takich razach do ostatniej chwili powinno się robić wszystko, co tylko leży w mocy ludzkiej. Tego w Courrieres nie uczyniono.

Pismo i druk.

Człowiek współczesnej kultury mieszka, odżywia się, ubiera, pracuje i bawi się zupełnie odmiennie, niż jego dawniejsi przodkowie.

Olbrzymie warsztaty czynne są dniem i nocą, by zaspakajać wszystkie jego potrzeby, wszystkie części mieszkania są wytworem pracy machin, więcej lub mniej wytworne suknie, — przędły, tkały, barwiły machiny, nadzorowane i dopełniane przez armie robotników. Podczas snu jego rozlega się, nie zakłócając mu spokoju przytłumiony huk żelaznych olbrzymów, sapią lokomotywy, wiozące towary z dalekich krajów — suną parowce na Oceanach, ładowane kawą, herbatą, owocami itp. dla jego stołu, pracują setki i tysięcy ludzi przy telegrafach, telefonach, w drukarniach, by rano przysposobić mu dziennik z najświeższemi wiadomościami.

Weźmy pod rozwagę pismo i druk.

Jakie to długie wieki mijać musiały, nim z instynktowych dźwięków i głosów zwierzęcych powstała mowa ludzka, nim człowiek zdobył tę władzę udzielania mową swych uczuć i myśli?

A jaki znowu przedział czasów między mową a powstaniem pisma? Tysiące i tysiące lat.

Dzieje pisma — to historya cywilizacyi, a gdy poznajemy, czem była książka, jaką rzadkością przed wynalazkiem druku — rozumiemy całą rewolucyę duchową, która rosła z rozwojem maszyn drukarskich.

A samo pisanie rękopisów zmieniło się również. W wiekach średnich pisano pędzlem, maczanym w farbie czarnej lub czerwonej i dziś piszą tak jeszcze Chińczycy — pisano trzciną temperowaną i odpowiednio rozciętą, a dopiero później używano piór gęsich, które zachowały się po dziś dzień.

Rączki i pióra, powszechnie będące w użyciu — to wynalazek XIX stulecia — wynalazek angielski, pióro stalowe nazwano w Birmingham „tkacką igłą kultury", a James Perry, który łożył kapitał na wyrób tej specyalności, zapłacił robotnikowi za pierwsze użyteczne pióro blisko 6 koron. Pióra te były sztywne i twarde, ulepszyli je dwaj robotnicy Gillot i Mason przez odpowiednie metody odrobienia stali, żarzenia, prasowania, krajania, polerowania i kosztowały one za sztukę 3 do 5 marek.

Gillot doszedł do kolosalnej fortuny; długie lata pióra jego utrzymywały się później w cenie po jednej marce, a fabryka jego wyrabiała rocznie 150 milionów stalowych piór. Dziś pióra te kosztują kilka fenygów za tuzin.

Drugi robotnik, późniejszy milioner, Mason, poparty został w swoich pomysłach wyrabiania lepszych i tańszych piór, aniżeli Perry, — przez tegoż fabrykanta.

W tym dziale przemysłu ulepszano od roku 1830 nieustannie machiny, tak, że n. p. obecnie w zakładach Masona przerabia się tygodniowo 60 000 klg. stali, przechodzącej przez różne stadya odrobienia, aż do wstążek krajanych na wyrób „stalówki", a w końcu na pióra, idące w handel.

Tygodniowo 60 000 klg. stali na pióra, to rzeczywiście olbrzymi przemysł i to produkuje jeden zakład, nie dziw więc, że jedno tylko miasto Birmingham zatrudnia w tym dziale 5000 robotników, wyrzucając na targ rocznie

1000 milionów piór, wyrobionych z 3 tysięcy ton stali.

Robotnik wprawny zarabia na naszą walutę 60 do 80 marek tygodniowo, kobiety 30 do 40 marek, a nawet chłopcy 12 do 20 marek.

W około wielu tych zakładów rozłożone są zabudowania, które mieszczą w sobie szkoły, szpitale, sale dla rozrywek, czytelnie, biblioteki, domy dla sierot, instytuty dla kształcenia robotników w danym zawodzie i t. d., — a wszystko powstałe z hojnych zapisów właścicieli fabryk.

Miliony Masona, zdobyte produkcyą piór, poszły na użytek tysięcy pracowników, na pomyślność i dobrobyt kraju.

Potrzeba pisania stworzyła nowe przemysły, łatwość zdobycia papieru rozszerzyła je, a chęć mechanicznego oddania rękopisu i pomnożenia go, obdarzyła świat wynalazkiem druku.

W starym Rzymie ważne dokumenta lub dzieła literackie, przepisywali niewolnicy, w średnich wiekach mnisi w klasztorach, drzeworytnictwo znane było w Chinach już w VI stuleciu naszej ery, w Europie używano długo tej sztuki dla wyciskania obrazów przed wynalazkiem druku. Sztuka drukarska i rozwój jej przechodziły coraz wyższe szczeble doskonałości, począwszy od pierwszych druków Gutenberga aż do dzisiejszych skomplikowanych, nieraz wprost zadziwiających konstrukcyi.

Olbrzymi wpływ prasy — wpływ dzieł i dzisiejsze rozpowszechnienie literatury, to dzieło wytrwałej pracy ducha wynalazczego, gnanego potrzebą czasu w XIX stuleciu. Stereotypia odlewania całego składu czcionek) dla częstych nakładów, żelazne prasy drukarskie i parowa prasa przygotowały późniejsze prasy rotacyjne i dzisiejsze machiny do składania czcionek.

Jeden numer gazety francuskiej „Figaro“ drukowanej w 100 000 egzemplarzach równa się 50 tysięcy tomom po 600 stronnic, wykonanym noc w noc.

Gdyby tak n. p. potrzeba było ten nakład otrzymać, przez przepisywanie, to redakcya musiałaby zatrudniać 500 tysięcy przepisywaczy, pomieszczenie dla nich byłoby dużem miastem, a tymczasem dziś robotę tę dokonywują pospiesznie drukujące maszyny, obsługiwane przez 100 robotników. A postęp na tem polu idzie dalej — pragnie pracę zecerów zastąpić zupełnie maszyną.

Edmund Libański.

Z teki tetryka.

Wojna i miłość są dwiema jedynemi rzeczami, dla których rodzić się i żyć warto.

* * *

Kto wszedł w podziemie, tego otacza ciemność, ale ten niema prawa jeszcze przeczyć, że pod sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło.

* * *

Kto nie przeżył we łzach swego chleba,
Kto nie przepłakał zbolały na ciele
We łzach boleści nocy bardzo wiele,
Ten nie wie — co to jest pociecha
z nieba.

Nasza ofiarność.

W Wieszczyczynie pod Masłowem w powiecie śremskim spalił się dnia 30-go marca r. b, jak już czytelnikom naszym wiadomo, deszczętnie kościół parafialny pod wezwaniem św. Rocha.

Cios to wielki dla parafii niewielkiej i niezamożnej.

„Krzyż, którym nas Pan Bóg nawiedził, — pisze w swej odezwie miejscowy ks. proboszcz Walenty Nowicki — przyjmujemy z pokorą. O własnych jednak siłach nie zdołamy odbudować świątyni Pańskiej. Mamy nadzieję, że Pan Bóg wesprze, i ludzie dobrej woli dopomogą do postawienia nowego przybytku Bożego. Składki choćby najmniejsze proszę przysłać na moje ręce, a w swoim czasie ogłoszę podziękowanie i złożę sprawozdanie z użycia ich. Najprzewielebniejszemu Ks. Biskupowi Likowskiemu i Prześwietnej Kapitale składam podziękowanie za darowane przybory kościelne; kochanym konfratrom i sąsiednim obywatelom dziękuję za słowa pociechy i za datki nadesłane; drogim rodakom na obczyźnie niech Pan Bóg sowicie wynagrodzi za pomoc, którą mi ofiarowali!“

W przyjmowaniu składek na cel powyższy pośredniczyć będziemy jak najchętniej, otwierając nową rubrykę składek:

Na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie.

Jednocześnie przypominamy Szanownym Czytelnikom, aby podczas świąt przy dzieleniu się jajkiem wielkanocnem nie zapomnieli o „naszej ofiarności“ *na fundusz jubileuszowy Towarzystwa Czytelni ludowych i na wszelkie inne cele humanitarne, na które składki zbieramy* (patrz nr. 13-y „Pracy“ i numera poprzednie.)

Na fundusz jubileuszowy Towarzystwa „Czytelni Ludowych“: p. A. P. z Dz. 4 mrk. 50 fen.

Nekrologia.

† Ś. p. *Ludwika z Tuchołków Rutkowska*, dnia 3-go b. m. w Poznaniu, w 70-ym roku życia.

† Ś. p. *Marya Siemiątkowska*, dnia 3-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Teodora Olszewska z domu Żurkiewiczowa*, dnia 3-go b. m. w Poznaniu, w 39-ym roku życia.

† Ś. p. *Jadwiga z Łubieńskich Radońska*, dnia 5-go b. m. w Kaliszu, przeżywszy 33 lata.

† Ś. p. *Teofila Buszkiewiczowa z domu Schindler*, dnia 7-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 88.

† S. p. *Stanisław Koralewski*, dnia 5-go b. m. w Poznaniu w 42-im roku życia.

† Ś. p. *Bronisława Strzeszyńska*, dnia 7 go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Jan Krolikowski*, dnia 7-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 49.

† Ś. p. *Antoni Stark*, złotnik i jubiler, dnia 9-go b. m. w Poznaniu.

† S. p. *Michał Biegański*, nauczyciel gimnazyalny z Świecia w Berlinie, dnia 9-go b. m.

† Ś. p. *Jan Nowak*, nauczyciel emerytowany, dnia 8 go b. m. w Poznaniu — na Jeżycach — w 65-ym roku życia.

Dział szaradowy.

Łamigłówka geograficzna.

Ułożyć 9 nazw geograficznych, których litery początkowe dadzą nazwę uroczystego święta ruchomego, chrześcijańskiego.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1) Państwo w Europie.
2) Rzeka w Niemczech.
3) Rzeka we Włoszech.
4) Stolica w Europie.
5) Wyspa Ameryki Północnej.
6) Największa część świata.
7) Rzeka w Afryce.
8) Miasto w Portugalii.
9) Nazwa morza.

Uwaga: Nazwy dłuższej, jak złożonej z 6-u liter, nie ma w całej łamigłówce.

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 21-go b. m.

Rozwiązanie łamigłówki

zamieszczonej w nr. 11-ym:

6 k o r o n
4 m i e c z e
19 c h o r ą g w i
4 ł a ń c u c h y
5 j a b ł e k
4 b e r ł a

Dobre rozwiązanie nadesłał p. Kostek Puknijsię z Mełpina.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

10 przykazań dla rolników.

1.

Zostań rolnikiem w tym razie tylko, jeżeli czujesz do tego trudnego, lecz zaszczytnego zawodu pociąg wewnętrzny. Jeżeli dawniejszemi czasy i mało wykształcony rolnik zadaniu sprostał to w czasach teraźniejszych tylko wykształceni i uzdolnieni młodzieńcy na powodzenie liczyć mogą. Chcąc być dobrym rolnikiem, nie wystarczy dzisiaj praktykować choćby w najlepszem gospodarstwie. Obok praktyki koniecznem jest posiadanie wiadomości naukowo-fachowych.

2.

Jeżeli na wsi się nudzisz i szukasz rozrywek, to dowodzi tylko, że nie przejąłeś się pracą w gospodarstwie. Kto się w niej zagłębi, ten poświęca jej całą swą uwagę. W tym razie staje się praca około roli i inwentarza bogatą w skutkach i prawdziwem błogosławieństwem dla oddającego się jej.

3.

Powinieneś by czynnym od rana do wieczora w tem małem państewku. Nie dosyć posiadać dobrego rządzcę i raz po raz go kontrolować. Rozkazy wydawaj krótko i jasno, bo ludzie powinni poznać, że wszystko co zarządzisz — najlepiej i najpewniej do celu prowadzi.

4.

Małe szkody tak w budynkach jak przy drogach wcześnie naprawiaj. Błędną oszczędnością kieruje się rolnik żałujący drobnego nakładu na takie konieczne reparacye, bo zwykle później — zamiast restaurować musi budować.

5.

Zanim nabędziesz jaki przedmiot kosztowny, dobrze się namyśl, czy tenże jest rzeczywiście potrzebnym. — Machiny rolnicze tak łatwo są do nabycia, jakaż w tem ponęta dla niejednego rolnika. Bez wielu machin lub narzędzi rolniczych, obyć się można, ale wiele już kupowano, które następnie stały bezużytecznie jako żelaztwo nie do użycia. — Przy sprzedażach oceniaj twój towar wedle rzeczywistej wartości i staraj się pozyskać sławę rozsądnego i rzetelnego dostawcy.

6.

Pielęgnuj inwentarz, pomny zawsze prawdziwego zdania, że „oko pańskie konia tuczy''. Nie wystarczy samo wyznaczenie pewnej ilości obroku na sztukę inwentarza. To jest dopiero połową troskliwości o powodzenie dobytku. Trzeba też dojrzeć, aby inwentarz przeznaczoną dla niego paszę otrzymał bez ujmy.

7.

W razie pojawienia się choroby u inwentarza — nie próbuj z podawaniem niepewnych leków. Wczesne sprowadzenie zdolnego konowała zazwyczaj bardzo się opłaca, jeżeli naturalnie przepisy tegoż ściśle spełnione zostaną.

8.

Rolę starannie uprawiaj. Dostarcz jej tego, czego jej braknie — opierając się przy tem na wskazówkach podawanych przez nowszą naukę o uprawie roli. Pisma fachowo-rolnicze, wykłady na zebraniach Kółek oraz stacye doświadczalne, otóż źródło nauki dla wielu rolników dosyć wystarczające. Żadną miarą nie powinieneś zamykać oka na postęp w rolnictwie. — Staraj się go zastósować do miejscowych warunków — na podstawie znajomości gleby, klimatu oraz konjunktur okolicy, w której zamieszkujesz.

9.

Kto ma długi, niech nigdy nie myśli, że w lepszych latach (urodzajnych) je łatwo spłaci. Rachuba taka łatwo zawodzi. Jedynie pewnem będzie, — zastósować rozchód do dochodu. „Pamiętaj rozchodzie żyć z dochodem w zgodzie'' — otóż złote słowa, które stale powinno się sobie przypominać.

10.

W każdej tak dobrej jak złej przygodzie, zawsze i stale trzymaj się razem z braćmi po pługu. Jedność to potęga, a dowodów na to, jak wiele rolnicy wspólnemi siłami zdziałali, w nowszym czasie bardzo wiele naliczyć by można. Łączenie się w Towarzystwa rolnicze, błogie owoce wydaje, i zalecałoby się, aby także pomniejsi rolnicy do Towarzystw rolniczych się garnęli i wspólnie radzili nad polepszeniem bytu swego.

Święcenie niedziel i świąt.

Coraz częściej dochodzą nas głosy, domagające się zaprowadzenia całkowitego święcenia niedziel. Wskazuje się na Anglią, która mimo rzeczywiście rozwiniętego handlu zaprowadziła to ulepszenie, nie narażając nikogo na straty. Nie chcemy w tym artykule rozważać, czy powszechne święcenie leży w interesie kupiectwa lub nie, dalej czy i o ile stan ten lub ów jest w sprawie tej interesowany; nie poruszymy też czynników, zniewalających młodzież kupiecką do tego żądania — zostawiamy to na później. Dziś chcemy tylko zapoznać czytelników z przepisami odnoszącemi się do pomocników handlowych.

Prawo, mówiąc przy kwestyi święcenia niedziel o pomocnikach handlowych, przepisuje, iż *nie wolno* tychże oraz uczniów i robotników *wogóle zatrudniać* w pierwsze święto Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy i Zesłania Ducha św. (Zielone Świątki). Są to więc na razie jedyne dnie, które zupełnie pozostawiono pomocnikom handlowym. W wszystkie inne niedziele i święta można pomocnika zatrudniać przez 5 godzin. Jednakże przysługuje władzom komunalnym prawo zredukowania tej liczby lub zupełnego jej zniesienia. Podczas 4 ostatnich tygodni, poprzedzających święta Bożego Narodzenia i też w wypadkach, gdzie wymaga interes publiczny, mogą władze policyjne zezwolić na 10-cio godzinne nawet zajęcie. Z tego ostatniego prawa korzystają władze bardzo często na małych miastach w dniach, na które przypada odpust, z której to przyczyny ludność wiejska w większej ilości przybywa do miasta. Aby więc ułatwić zakupno przybywajacym, zezwala policya na to, że składy zazwyczaj bywają otwarte do godziny 6-tej wieczorem. W tym wypadku musi jednakże władza uwzględnić czas nabożeństwa głównego o tyle, by i pomocnik mógł na nie podążyć.

Dalej wolno jeszcze zatrudniać pomocnika za zgodą władzy przez całą niedzielę i święto, jeżeli wymaga tego interes publiczny lub nakazaną jest przez władzę inwentura, której zestawienie nie cierpi zwłoki.

Najważniejsze to przepisy, regulujące zatrudnienie pomocnika handlowego w święta i niedzielę.

Stan kupiecki ma wysokie powołanie, pełne ciężkich obowiązków, zaprowadzenie więc zmian w położeniu kupców na lepsze, koniecznie jest potrzebne.

„Przegląd kupiecki.''

DZIAŁ KOBIECY.

Wiec kobiet w Krakowie.

Zwołany w ostatnim czasie w Krakowie przez panie Turzymę i Bujwidową „wiec kobiet“ dostarczył nowego dowodu, że ogół kobiet krakowskich ocenia tego rodzaju przedsięwzięcia, jak należy. Uczestniczek, po dłuższem wyczekiwaniu, zebrało się — jak referuje „Czas“ — bardzo niewiele. Przeważała płeć brzydka, stanowiąc dziewięć dziesiątych uroczystego zgromadzenia. Byli to częścią ciekawi, których nęciła ustalona już opinia wieców kobiecych w Krakowie, częścią znane postacie ze zgromadzeń p. Daszyńskiego. Około trzy kwadranse na 4 po południu, gdy nie można było już spodziewać się liczniejszego kompletu, p. Turzyma zagaiła wiec, proponując na przewodniczącą p. Tylicką, która znów udzieliła głosu pani Turzymie, referującej o „Kobietach wobec projektu reformy wyborczej“. Przemówienie p. Turzymy streszczało się w tem, iż „kobiety muszą wejść do parlamentu, bo są tam koniecznie potrzebne“. Zachęta kobiet do agitacyi za socyalistami uzupełniła długą mowę. Przedewszystkiem ubolewała p. Turzyma, że na sali jest „tylko jedna piąta kobiet, a cztery piąte towarzyszy“. Pociechy dostarczyło mówczyni przeświadczenie, którego nie zataiła, że „za dziesięć lat, kto dożyje, przekona się, jak tłumne będą wiece kobiet w Krakowie“.

Z porządku repertoarowego wystąpiła p. Bujwidowa z referatem „O reformie małżeństwa“. Uznaje ona obecne małżeństwo za doskonałe (huczne oklaski), lecz życzyłaby sobie reformy prawa małżeńskiego. Rezultatem jej wywodów był wielki atak na płeć brzydką. Warto przytoczyć, iż p. Bujwidowa wie napewne, że „na sto ojców, zapytanych, do której klasy uczęszcza syn, dziewięćdziesięciu się pomyli“.

Przemówienie p. Bujwidowej dobiegłoby spokojnie końca, gdyby nie pewna słuchaczka, która uważała za wskazane zaprzeczyć jednemu z twierdzeń referentki okrzykiem: „Nieprawda!“ Referentka nie powstała oczywiście dłużna odpowiedzi i przez jakiś czas krzyżowały się między trybuną a widownią energicznie:

— Prawda!

— Nieprawda!

— Prawda!

Dopiero interwencya p. Tylickiej położyła kres temu epizodowi. Następnie p. Tylicka wystąpiła w roli referenta i zajęła się nader obszernie kwestyą „Ochrony dziecka“. Po krótkiem ubolewaniu, że matek-robotnic tak na sali niewiele, przeszła p. Tylicka do ataku na krakowskie sądy, w mowie przetykanej rażącymi błędami językowymi. P. Tylicka jest, jak wiadomo, jedną z bojowniczek reformy szkólnej, takiej, jaką rozumieją krakowskie feministki. Mówiąc o jednej ze skandalicznych rozpraw na tle seksualnem w sądzie krakowskim, wyrażała p. Tylicka żal, iż rozprawy takie odbywają się przy drzwiach zamkniętych. Wreszcie zaproponowała p. Tylicka założenie żłóbka, a nadto tworzenie postępowych ochronek „z inteligentną opieką“.

Nastąpiła dyskusya, przy której doszła do głosu ogromna większość męska zebranych. Po przemówieniu członka Uniwersytetu ludowego pana Marguliesa, zabrał głos p. Brody, który postawił dyskusyę na najgłębszych fundamentach. Sensem jego przemówienia było mianowicie, iż cała akcya samopomocy kobiet dla ochrony dziecka nie ma racyi bytu (konsternacya). Mówca słuchany cierpliwie, rzucił zapatrywania, niezgodne z poglądami p. Turzymy i ta zażądała odebrania mu głosu. Zgromadzenie nie przyczyniło się do takiego poglądu na wolność słowa i mówca skończył, poczem cały szereg mówczyń stoczył żwawą utarczkę z jego wywodami.

Wreszcie uchwalono rezolucye, domagające się powszechnego prawa wyborczego i agitowania za niem, popierania socyalistów przy wyborach, wprowadzenia ślubów cywilnych, równouprawnienia dzieci nieślubnych, wreszcie zapewnienia kobiecie prawa opieki nad dziećmi itd. Przy pierwszej rezolucyi podniosło się wśród zwykłych okrzyków: „Wszyscy!“ — kilkanaście rąk. Wobec tego, przy następnej rezolucyi, przewodnicząca wolała nie wzywać do podnoszenia rąk pro, lecz zapytała.

— Kto jest przeciw?

Wśród ogólnej wesołości, wyrósł przed skonsternowaną przewodniczącą cały las rąk. Dopiero po chwili okazało się, że wiecownicy niezbyt dokładnie słuchali rezolucyi i tego, co przewodnicząca im proponowała. Oczywiście, za rezolucyą byli znów „wszyscy“. Tableau.

Zbieranie pocałunków.

Różne mamy sporty i różne manie. Pokaźna ich liczba powiększyła się o jeszcze jeden, dzięki pomysłowości pewnej Angielki, panny Evans, której przyszła do głowy myśl zbierania... pocałunków. „Honny soit, qui mal y pense“: idzie tu nie o zbieranie pocałunków w naturze, lecz tylko o ich reprodukcye. Odbywa się ta rzecz w sposób następujący: osobnik, którego pocałunek ma być przekazany potomności, przykłada lekko usta do poduszeczki, napojonej specyalnie przyrządzonym atramentem naperfumowanym i następnie całuje kartkę albumu, pozostawiając na niej ślady swych ust. Oczywiście album przedstawia o tyle większą wartość, o ile zawiera więcej pocałunków — no i to z ładnych usteczek. Nowy ten sport zyskuje podobno coraz więcej zapalonych miłośników.

Jak pielęgnować płeć?

(Z Poradnika „Drogeryi Universum“, właściciel p. B. Śniegocki w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej nr. 38.)

Przy skłonności do węgrów i chrost należy przedewszystkiem wystrzegać się spożywania potraw z ostremi przyprawami i zważać na dobre trawienie.

Przy chorobach skórnych (nie mówię tu o wadach cery), trzeba koniecznie zasięgnąć rady lekarza, gdyż nieczystości skóry tylko lekarz usunąć może. Należy tedy rozróżnić wady cery od chorób skórnych. Czynnikiem wielkiej wagi i, że tak powiem, podstawą do pielęgnowania płci, powinno być przedewszystkiem utrzymanie całego ciała w jak największej czystości.

Spostrzegamy niestety często zwyczaj brania kąpieli tylko raz w tydzień lub nawet rzadziej jeszcze, a mianowicie w domach, gdzie nie ma łazienki. Brak jednakże kąpieli we wannie zastąpić się da bardzo dobrze wycieraniem ciała wodą letnią lub też zimną. — Bezpodstawną jest tu obawa przed takiem wycieraniem ciała, gdyż dotąd ono nikomu nie zaszkodziło. Trzeba tylko wytarcie zimną wodą szybko uskutecznić, ciało rękawiczką do froterowania dobrze wytrzeć, poczem jeszcze na kilka minut wnijść w łóżko. — Procedura ta przyspiesza cyrkulacyę krwi i nadzwyczaj ciało orzeźwia. Kto jednakże łazienkę posiada, nie powinien zaniedbać brania kąpieli najmniej dwa razy w tygodniu.

Nadzwyczaj dobrem jest używanie jako dodatku do wody kąpielowej prawdziwego ekstraktu iglicowego, octów toaletowych i pastylek kąpielowych. Środki te działają doskonale na orzeźwienie ciała i na wzmocnienie systemu nerwowego.

T. S.

ROZMAITOŚCI.

Pięćsetletni jubileusz. Z Sanoka donoszą: „500 lat mija w bieżącym roku od chwili, kiedy w naszem mieście urodził się Grzegorz ze Sanoka, jedna z najpiękniejszych postaci z czasów humanizmu w Polsce, poeta i uczony, profesor Akademii krakowskiej, późniejszy arcybiskup lwowski. Towarzystwo upiększenia m. Sanoka dla uczczenia tej rocznicy zamierza dołożyć wszelkich starań, aby dawno już powstałą myśl postawienia choćby skromnego pomnika tej chlubie naszego miasta do skutku doprowadzić. W tym samym celu urządzi też w ciągu roku bieżącego wieczorek, na który przybędzie z odczytem o Grzegorzu z Sanoka zaproszony przez wydział Tow., a bawiący właśnie w naszem mieście na inspekcyi gimnazyum, radzca szkolny, dr. Franciszek Majchrowicz.‟

* * *

Zajście z mankietnikami w Czerwonce. Czytamy w „Kuryerze Warszawskim‟ z d. 3 b. m. Dziś w południe otrzymaliśmy następujące doniesienie o nowem zajściu, jakie wydarzyło się pomiędzy mankietnikami a prawowitymi katolikami we wsi kościelnej Czerwonce, odległej o 5 wiorst od Węgrowa gub. siedleckiej: Węgrów, 31 marca. Sfanatyzowani przez ks. Roztworowskiego, proboszcza sąsiedniej parafii Wiśniewa, parafianie stanowiący $^{2}/_{3}$ ogółu mieszkańców tej okolicy, stawili się tłumnie do ks. Panufnika, proboszcza sąsiedniej parafii Czerwonki, i zażądali wyjazdu z parafii. Ks. Panufnik, ujrzawszy tłum, schował się w swojem mieszkaniu. Fanatycy zaczęli oblegać probostwo, grożąc gwałtami. Prawowici katolicy widząc, że sami nie odeprą ataku, zawezwali na pomoc parafian z sąsiedniej wioski Liwia. Ci przybyli konno, w liczbie około stu, uzbrojeni w kije. Zaczęła się walka. Czternastu parfian rannych, jeden konający. Ks. proboszcza Panufnika uprowadzili prawowici parafianie do Liwia. Tu ciężko się rozchorował. Mankietnicy przybyli za nim i żądają natychmiastowego jego wyjazdu z dyecezyi. Włościanie z Liwia, oraz z okolicznych wiosek ściągają tłumnie na teren zajść, aby odpierać ataki mankietników. W okolicy silne wzburzenie.

Ks. Panufnik jest proboszczem Czerwonki od lat 13. Konsystorz warszawski potwierdza opis zajścia, nadmieniając, że na miejsce udają się OO. Redemptoryści.

* * *

Nowy napad mankietników. „Kuryer Warszawski‟ donosi o nowym napadzie sekciarzy. W ubiegłym tygodniu do parafii Skoszewy wpadło o godz. 4-tej rano przeszło ośmset mankietników, pod wodzą naczelnika swego, Kowalskiego, przebranego za kobietę. Napadli na ks. Lewandowskiego, Franciszkanina, administrującego parafią Skoszewy i wszedłszy do mieszkania jego, wynieśli go z łóżkiem na podwórze, a następnie zaczęli rozbijać meble i wszystko, co było pod ręką. Usłyszawszy to prawi katolicy, nadbiegli swemu proboszczowi na pomoc, lecz mankietnicy, będąc w znacznie większej liczbie, łapali ich, wiązali i układali na kupę. Pomimo, że mankietnicy poobrywali serca od dzwonków i sygnaturek, aby pomoc nie mogła szybko nadejść, drużyna wiernych spieszyła wciąż ku parafii, tak że wkrótce mankietnicy czuli się zagrożonymi. Niebawem przybyło wojsko i położyło kres bójce, w której sporo jest rannych. Na uwagę zasługuje to, że w napadzie na ks. Lewandowskiego brał udział i dyrygował przybyły z Płocka mankietnik, Żebrowski, krewny jego i wychowaniec.

* * *

Dziki plan. „Nowoje Wremia‟ donosi, że grupa rewolucyjna postanowiła zemścić się w sposób okropny na kozakach. Chce ona bakcyle dżumy roznosić po wsiach, zamieszkałych przez kozaków w ten sposób, że wędrujący domokrążcy mają dżumę szerzyć od domu do domu. Czterech rewolucyonistów wyjechało już podobno do Indyi, celem sprowadzenia stamtąd bakcylów dżumy.

Inne pisma powtarzają za „Now. Wr.‟ nieprawdopodobną tę historyę.

* * *

Świętokradztwo w kościele. W ostatnim czasie włamano się w nocy do kościoła św. Piotra i Pawła w Zurych-Ausserfihl. Zbrodniarz dostał się po drabinie przez okno do wnętrza kościoła i wyjął z tabernakulum obydwa cyborya, które się tam znajdowały, z nakrycia jednego zerwał mały krzyżyk i zabrał go z sobą, z drugiego zaś kielicha wziął wszystkie konsekrowane hostye, których było około 500. Dalej wyjął wielką hostyę z monstrancyi, samą zaś monstrancyę pozostawił na miejscu.

Nie ma jeszcze roku, gdy wikarego Adamera w Zurychu zawołał jakiś młodzieniec rzekomo do chorej swej matki. Kapłana znaleziono potem na wzgórzu Uto zamordowanego. Hostya św. była skradziona. Kilka dni potem włamano się do kościoła w pobliskim Altstetten. I tam zbrodniarz skradł hostye święte, przyczem w zupełnie podobny sposób postępował, jak w obecnym wypadku w Zurych-Ausserfihl.

* * *

Wyspa zagrożona zniknięciem. Trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło przed niewielu dniami wyspę Ustica w pobliżu Sycylii, jest o wiele groźniejszem niźli się z pierwszych wiadomości zdawało.

Wyspa Ustica jest położona o 70 mniej więcej kilometrów na północ od Palermo. Grunt jej jest wulkaniczny i do dziś widoczne są ślady trzech wygasłych kraterów, a dokoła puszczy jednego z nich zbudowała się mała wioska. Stolicą wyspy jest miasteczko Santa-Marca, położone nad małym portem. Cała ludność liczy około 2000 głów. Na wyspie zbudowano wielki zakład karny, w którym w chwili katastrofy było 600 więźniów, strzeżonych przez 53 dozorców i 100 żołnierzy. Wyspa połączona była z Palermem za pomocą tygodniowej komunikacyi parowcowej. Przejazd trwał cztery godziny.

Owóż wskutek ostatniego trzęsienia ziemi, wyspa zaczęła się zapadać. Wstrząśnienia, w towarzystwie grzmotów podziemnych ponowiły się z wielką gwałtownością i zachodzi obawa, ażeby wyspa całkiem nie zniknęła pod wodą.

Straty są ogromne, wszystkie domy są uszkodzone, a wiele się zawaliło. Ludność ogarnęła panika, przeważna część mieszkańców schroniła się do łodzi, reszta obozuje na polu. Więźniowie, zamknięci w więzieniu, widząc rysujące się mury, wydostali się na wolność, wobec czego pozwolono im udać się do ogrodu, gdzie strzeże ich wojsko.

Na miejsce wysłano krążownik „Euridice‟ i parowiec „Egadi‟ z środkami żywności, żołnierzami do prowadzenia akcyi ratunkowej, karabinierami do strzeżenia bezpieczeństwa i namiotami dla bezdomnej ludności.

Humorystyka.

Wielkanocny polonez.

Tam na stole ze „święconem"
W saloniku ustawionem
Szynka, jaja i kiełbasa,
Także prosiak sobie hasa.

Babki, placki rej też wodzą,
Chociaż zdrowiu często szkodzą;
Stary węgrzyn, „podbipięta",
Koniak oraz wódka mięta

Wszystko w harmonii wielkiej
Dla łakomej rzeszy wszelkiej;
Każdy dzisiaj się raduje
I „święcone" konsumuje.

Za „czterech" dziś je i pije
I wesoło sobie żyje,
By po świętach do apteki
Na żołądek iść po leki!

Humorysta „Pracy."

Jak się babki udały?

— Jakżeż się pani babki udały?

— Niech pani sobie wyobrazi, zarobiłam ciasto, a drożdży zapomniałam dodać.

— Ja zrobiłam jeszcze gorzej, bo włożyłam drożdże, a zapomniałam wsypać mąki....

Westchnienie redaktora pod carskim knutem.

Z chwili bieżącej.

Minęły czasy szczęśliwsze — niestety,
Gdy wolność była nieznanym nam sprzętem
I całe szpalty druku mej gazety
Cenzor czerwonym mazał atramentem.
Dziś, gdy nie trzeba cenzorskich matrykuł,
Dni, noce w strachu przepędzam i drżeniu:
Tysiąc trzydzieści i sześć jest artykuł,
Który mi grozi zamknięciem w więzieniu.

Minęły czasy, szczęśliwsze zaiste,
Gdy w piśmie soli przesadziwszy dawkę,
Na czarną za to zapisany listę,
Szedłem z gazetą swoją na „poprawkę".
Dziś, gdy się cenzor nie mści na bibule,
Mogę w przykrzejszych kłopotów wpaść seryę,
Bo w sto dwudziestym ósmym artykule
Stoi wyraźnie: jazda na Syberyę!

Minęły czasy, szczęśliwsze w istocie,
Kiedy kar srogich nie groziła zmora;
Gdy, będąc w jakim prasowym kłopocie,
Niby do ojca, szedłem do cenzora.
Dziś, gdy nie myślę o cenzorskim kleksie,
Przyszłość się zgoła nie przedstawia świetnie,
Można albowiem, podług praw w kodeksie,
Dostać roboty ciężkie kilkoletnie.

Piękną jest pewnie wolność słowa w prasie,
Gdy pióra w galop jadą bez przeszkody,
Jednakże jestem trochę w ambarasie,
Czy mam elegie dziś śpiewać, czy ody?
Na naszej rzece jest albowiem zator,
Który pływania psuje interesa:
Zamiast cenzora — grozi prokurator
I kodeks wisi, jak miecz Damoklesa.

Z warszawskiego bruku.

Przezorny.

— Które pan pismo abonuje?

— „Reformę".

— Przecież tam nic nie ma!

— Racya. Ale przynajmniej jestem pewny, że tego pisma nigdy nie zawieszą.

* * *

W cyrkule.

— Panie — krzyczał na mnie sam pan adjunkt, — pan dostałeś już trzecią awizacyę, ażeby się stawić za swoim interesem w cyrkule, a pana musiałem aż przez rewirowego ściągać. Pan sobie lekceważysz władzę!

— Ja sobie lekceważę władzę? Panie adjunkcie, kto to panu powiedział? Nie widzi pan, że już położyłem przed panem rubla?

* * *

Powrót Taty

pod carskim knutem w roku 1906-ym.

— Pójdźcie, o dziatki! pójdzie wszystkie razem
Za wieś, gdzie lasek wyrasta;
Tam pod szosowym siadłszy sobie głazem,
Patrzcie na drogę od miasta...

Tata nie wraca... Ze smutną twarzą
Czekam go w każdej godzinie:
Dawno wyjechał z domu pod strażą,
Bo sędzią w naszej był gminie.

Posłuszne dziatki biegną ku szosie.
Rade pocieszyć niebogę
I na kamieni usiadłszy stosie,
Wzrok wytężają na drogę.

Pusto dokoła — tylko w gęstwinie,
Wrony pieśń kraczą o lecie;
Czasem się konny strażnik przewinie,
Co szuka buntu w powiecie.

Patrzą wciąż dziatki, wzrokiem, jak mogą,
Wodzą po równej połaci —
Nagle dojrzały: od miasta drogą
Idą trzy jakieś postaci.

Zrazu im szczęściem błysnęło oko,
Lecz wnet się radość obniża:
To anarchiści pewnie się wloką
Lub mankietnicy z pobliża.

Ale gdy bliżej podeszła trójca,
Dziatkom krzyk z piersi wylata:
„To nie mankietnik żaden, ni zbójca!...
To tata wraca!... nasz tata!..."

Skoczyły dziatki, pędzą po błoni,
Jak tylko starczą im nogi,
I do ojcowskiej przypadłszy dłoni,
Wołają: „Tata nasz drogi!"

Ojciec ich czule gładzi po głowie,
Patrzy na dziatki z pogodą:
Tak, to ja, dzieci.... a ci panowie
Na *wodworenje mnie wiodą.*

„Trudno mnie poznać: brudny, brodaty,
Chudy na twarzy i blady,
Lecz i tak rade bądźcie, że taty
Nie zjadły w ciupie owady..."

Cieszą się dziatki, skaczą w ferworze,
Radosnej doznając tremy:
„No, teraz w naszym zacisznym dworze
Już zawsze razem będziemy!..."

Lecz tata odparł z wejrzeniem łzawem:
„Czasy dziś pełne są grozy,
Więc nie wiem, dziatki, czyli niebawem
Nie wrócę znowu do kozy..."